

znak litera
nova



EWA ŻARSKA

ŁOWCA

REPORTAŻ

SPRAWA TRYNKIEWICZA

EWA ŻARSKA

ŁOWCA

SPRAWA TRYNKIEWICZA

znak *litera
nova*

KRAKÓW 2018

Moim Rodzicom



Wstęp

Wakacje nad morzem w Dziwnowie to była nasza rodzinna tradycja. Ciocia Grażyna załatwiała, bo wtedy wszystko się załatwiało, dwutygodniowe turnusy dla całej rodziny. W Ośrodku Huty Szkła Gospodarczego „Hortensja” wypoczywał cały Piotrków Trybunalski. Na plaży masłem kakaowym smarowali się pracownicy huty, ich rodziny i wszyscy, którzy mieli znajomości. W sierpniu 1988 roku byliśmy tam po raz dziesiąty.

Akurat tego dnia piaskowym wartburgiem pojechaliśmy z Dziwnowa do Międzyzdrojów na lody czekoladowe. Mama miała wtedy 49 lat. Opalona na heban, w białych okularach przeciwsłonecznych. Tata łapał już brzuszek, ale jeszcze unikał siwizny. Ja, późne dziecko państwa Żarskich, miałam 13 lat.

Było chwilę przed południem. W radiu leciał hit lata i odkrycie roku Krzysztof Antkowiak. Kilka miesięcy wcześniej wyśpiewał swój największy chyba przebój *Zakazany owoc*. Dobrze się bawiliśmy – do czasu, gdy spiker w wiadomościach zaczął czytać: „W lesie pod Piotrkowem Trybunalskim znaleziono spalone ciała trzech chłopców. Milicja szuka mordercy...”.

Piotrków to nasze miasto.

Tata stał w dwugodzinnej kolejce po lody amerykańskie, a my z mamą buszowałyśmy po sklepikach i kioskach z wakacyjnymi gadżetami. Wokół wisiały japonki w siatkowych torbach i samolociki na rozwijanym sznurku z kręcącymi się skrzydłami.

Ale już nie bawiliśmy się dobrze, bo tego dnia ktoś zasiał w nas strach. W naszym sennym Piotrkowie ktoś mordował dzieci.

Było ciepłe lato '88...

Rozdział I

Obywatel Edward Ś.

5 sierpnia 1988 roku, godzina 16.00

Ciepłe piątkowe popołudnie. Kto nie wypoczywał akurat na pracowniczych wczasach, właśnie wracał do domu i szykował się na weekend, choć wtedy nikt go tak jeszcze nie nazywał.

Prokurator Małgorzata Ronc zaczęła właśnie układać talerze w kuchennej szafce w nowym mieszkaniu, a sierżant Kazimierz Kubicki myślał o wolnej sobocie. Ich plany nie tylko na najbliższe dni, ale i na długie miesiące pokrzyżował Edward Ś.

Mieszkaniec położonego na obrzeżach miasta osiedla Wierzeje zadzwonił właśnie do dyżurnego MO w Piotrkowie. Powiedział, że znalazł spalone zwłoki trzech osób. Dyżurny natychmiast, a przynajmniej tak szybko, jak było to możliwe w latach 80., zawiadomił sierżanta Kubickiego. Wysłał do niego do domu plutonowego Jana Karbowiaka z wiadomością, by przyjechał z powrotem do komendy. Również młoda prokurator Ronc nie miała jeszcze wtedy telefonu. Gdy usłyszała pukanie do drzwi, wiedziała, że musi wrócić do pracy. Funkcjonariusz zameldował jej w drzwiach: „Pani prokurator, znaleźliśmy zwłoki trzech poszukiwanych chłopców. Ekipa już jest na miejscu”.

Milicjant zapisał później:

Obywatel Ś. czekał na nas przed swoją posesją. Po zabraniu do radiowozu oświadczył, że spalone zwłoki znalazł w lesie po prawej stronie, jadąc z Piotrkowa w kierunku miejscowości Koło. Udaliśmy się więc na wskazane miejsce. Zastaliśmy tam spalone zwłoki trzech osób. Swoimi rozmiarami wskazywały, że są to zwłoki dzieci.

Edward Ś. miał 61 lat i był na emeryturze. Wykształcenie podstawowe. Całe dorosłe życie pracował jako stolarz. Nigdy nie miał problemów z prawem, choć od alkoholu nie stronił. Podobno czasami bił żonę. Najbliżsi sąsiedzi nie mieli o nim

dobrego zdania. Milicjantom mówili też o „dziwnej relacji” ojca z córką. Edward Ś. szybko stał się podejrzanym numer jeden.

Dawno temu w pokoju, na szafce powiesił zasłonkę z lnianego płótna w zielone tureckie wzory. Taką samą milicjanci znaleźli przy zwłokach.

Edward Ś. w sierpniu i wrześniu zawsze zbierał grzyby.

Tego dnia także. I dzień wcześniej też.

Z protokołu przesłuchania:

4 sierpnia wstałem około 9.30 i po zjedzeniu śniadania udałem się swoim rowerem marki składak na grzyby, zabierając torbę z materiału. Rowerem dojechałem do lasu obok miejscowości Koło i tam weszłem w las na lewo od drogi asfaltowej. Nie patrzyłem na zegarek. Moim zdaniem mogła być już 10.45.

Kiedy emeryt nazbierał już grzybów, wyszedł z lasu na szosę prowadzącą z Sulejowa do Piotrkowa Trybunalskiego. Podczas spaceru we wschodniej części lasu dostrzegł niewielki ogień. Gdy podszedł bliżej, wydawało mu się, że dopalają się tam klocki drewna.

Edward Ś. był niemal pewny, że to leśniczy nie dogasił ogniska. Wrócił do domu. Po drodze minął dwóch mężczyzn. Starszy miał około 60 lat, młodszy był koło trzydziestki. W torbach ze sztucznego materiału nieśli grzyby.

W domu był po 12.00. Zjadł obiad i zasnął. Po dwóch godzinach obudziła go żona. Cały czas, jak co dzień zresztą, krzątała się po domu. Sprzątała, gotowała i hałasowała, zmywając naczynia. Zdenerwowany grzybiarz wstał, umył się i do wieczora słuchał radia.

Życie Edwarda Ś. płynęło powoli, bez spektakularnych wydarzeń. 5 sierpnia wszystko się zmieniło, choć zaczęło jak zwykle.

Ś. obudził się rano, zjadł śniadanie i pojechał na targ po starter do motoroweru. Od kilku dni miał problem z uruchomieniem silnika. Gdy kupił, co trzeba, wrócił do domu po materiałową torbę i pojechał na grzyby. Około 14.00 szedł już do domu tym samym duktem, co dzień wcześniej.

Z protokołu przesłuchania:

Z ciekawości postanowiłem podejść do miejsca, gdzie poprzedniego dnia tliło się ognisko.

Skręciłem zatem w lewo z duktu i po około 20 metrach znalazłem się w bezpośredniej bliskości tego miejsca. Nie zauważyłem ani ognia, ani też dymu. Natomiast było dużo much. Początkowo myślałem, że są to spalone świnie. Kiedy jeszcze bardziej się przybliżyłem, rozpoznałem mocno zwęglone 3 ciała ludzkie. Ciała te były jakby owinięte w materiał koloru białego. Zrobiło mi się nieprzyjemnie i szybko oddaliłem się z tego miejsca, a następnie jak najszybciej udałem się do domu.

Gdy Edward Ś. wrócił do domu, jego żona znowu sprzątała. Opowiedział jej o makabrycznym znalezisku. W ognisku dojrzał małe dziecięce stopy i nadpalone dłonie. Żona kazała mu dzwonić na milicję. „Żeby nie było problemów” – ostrzegła. Edward pobiegł do najbliższego sklepu, w którym zwykle kupował alkohol. Tym razem chciał jednak tylko skorzystać z jedyne w okolicy telefonu. O czwartej po południu dyżurny MO odebrał zgłoszenie o trzech zwęglonych ciałach.

Jeszcze tego samego dnia w domu Edwarda, jego żony i dorosłej córki zjawili się milicjanci. Przeszukali pokoje i zabezpieczyli gumowe buty do pół łydki, drelichowe granatowe spodnie i granatową marynarkę z podartą podszewką.

Mundurowi dotarli też na leśną polanę. Przy spalonych zwłokach znaleźli kawałek lnianego płótna wyprodukowanego w Żyrardowie.

Rozdział II

Oględziny

Notatka służbowa:

Podczas oględzin miejsca znalezienia zwłok zauważono, że w pobliżu kilkakrotnie przejeżdżał drogą samochód marki Syrena.

Kiedy o godz. 19.40 przejeżdżał po raz kolejny, pojechałem za nim i ustaliłem, że jest to syrena koloru beżowego, w której znajdował się jeden mężczyzna w średnim wieku. Po dojechaniu do Piotrkowa syrena ta wjechała w podwórko posesji przy ulicy Wojska Polskiego. Za tym samochodem wjechał drugi samochód, marki Syrena, koloru piasek pustyni, w którym znajdowało się dwóch mężczyzn.

Rozdział III

Ślady

Gdy tylko znaleziono spalone zwłoki, prokurator Ronc wydała decyzję o przeprowadzeniu sekcji. Biegli mieli odpowiedzieć na najważniejsze pytania: jakiej płci i w jakim wieku były osoby, których ciała znaleziono? Zwłoki w lesie leżały w foliowych workach, były nadpalone, owinięte w szmaty. Obok, na ściółce leżało puste opakowanie po klubowych – w latach 80. ulubionych, bo dostępnych, papierosach Polaków. Paczka kosztowała wtedy dziewięć złotych.

Lekarze z Wojskowej Akademii Medycznej w Łodzi oznaczyli zwłoki numerami 4, 5 i 6.

Z notatki urzędowej:

W trakcie oględzin zwłok nr 6 zdjęto z nich między innymi: koszulkę koloru czerwonego, spodenki koloru granatowego z paskiem koloru białego oraz majtki koloru niebieskiego, a także skarpety frotté koloru białego.

W 1988 roku skarpety frotté chciał mieć każdy. Najlepiej z niebieskim lub czerwonym paskiem, do połowy łydki. „Frotki” sprzedawano na zaświadczenia ze skupu makulatury. Jedna para za kilogram.

Z rąk zdjęto tzw. „rękawiczki” – zabezpieczone do dalszych badań. Na ciele denata ujawniono 6 ran. Zwłoki zmierzono i długość ich wynosi ok. 147 cm. Zwłoki te były w całości lekko opalone.

Ciało chłopca leżało na kamiennym stole przygotowane do sekcji, ułożone na boku. Usta i oczy były otwarte. Dziecko wyglądało jak cierpiąca duża lalka. Skóra była jak sztuczna, miejscami pomarszczona. Jakby ciało długo leżało w wodzie. Lekarze mówili o takiej, że to „skóra praczki”. W białych gumowych rękawiczkach zabezpieczali wszystkie ślady. Mierzyli chłopca, ważyli, oczyszczali skórę z larw. W pomieszczeniu stały dwa zlewy, gdzie opłukiwali ręce i zmieniali rękawiczki po badaniach.

Na szyi chłopca wisały okulary do pływania.

Zwłoki oznaczone jako nr 4 były to zwłoki popalone, przedzielone na połowę. Opuszki palców były spalone. Nie nadają się do identyfikacji. Zwłoki cechuje wysoki gigantyzm gnilny. Na powierzchni ujawniono 4 otwory o kształcie soczewkowatym, drążące w głąb ciała. Długości zwłok nie zmierzono. Wstępna przyczyna zejścia śmiertelnego denata jest taka sama jak przy zwłokach nr 6. Przy zwłokach ujawniono resztki skarpet z niebieskim paskiem.

Ciało numer 4 leżało na plecach. Chłopiec głowę miał owiniętą różnokolorowymi nadpalonymi szmatami. Uwagę biegłych zwróciła lniana ścierka z czerwonymi i zielonymi pasami po bokach. Takich ścierczek w latach 80. gospodynie domowe używały głównie do wycierania naczyń. Ścierka w pasy owijała foliową torbę, którą morderca założył na głowę dziecka. Gdy biegli ściągali z głowy chłopca stopioną folię, wraz z nią odeszły włosy. Miał gęstą, czarną czuprynę. Dolna połowa ciała była zwęglona.

Zwłoki ostatnie, oznaczone nr 5, w chwili oględzin były ubrane w podkoszulek, na którego powierzchni są widoczne otwory w części tylnodolnej. Są to trzy linie przecięcia o wymiarach 3, 2, 4 cm. Ponadto posiada na sobie spodenki krótkie koloru niebieskiego, teksasy, częściowo popalone. Pod spodenkami posiada majteczki bawełniane koloru białego przewrócone „na lewą stronę”. [...] Na ciele ujawniono 8 ran o kształcie soczewkowatym. Na bokach podbrzusza jest rana, przez którą wydobywają się jelita. Zwłoki mają długość 155 cm.

Chłopiec oznaczony numerem 5 leżał na stole sekcyjnym owinięty w nadpalone szmaty. Głowę miał schowaną w poszewkę od poduszki z koronkowymi wykończeniami. Szyję owijał dwużyłowy biały kabel – założony najpewniej po to, by poszewka nie spadła. Tak jakby oprawca bał się spojrzenia swojej ofiary. Pomiędzy stopami chłopca była kratka odpływu. Po skończonej sekcji biegli mogli szybko wyczyścić stół. Smród w pomieszczeniu był odrażający. W badanych ciałach zaległy się już owady i pojawiły się larwy.

„Czas zejścia śmiertelnego trzech denatów biegły określił jako tydzień wstecz, mogło to być w dniu 30, 31.07.1988 r.”

Kapitan Sielski, który uczestniczył w sekcji zwłok, na podstawie przeprowadzonych badań zapisał pierwsze wnioski:

- zgony nastąpiły w wyniku wykrwawienia z powstałych ran kłutych
- sprawca czy sprawcy nie ogłusza. Tzn. nie biją narzędziem w głowę. Czaszki nienaruszone, natomiast rana w okolicy skroniowej zwłok nr 5 przypadkowa
- ciosy zadawane najczęściej od tyłu
- sprawcy używają jednego narzędzia lub dwóch
- technika zadawania ciosów ta sama
- ofiary nie miały możliwości poruszania się
- zgon ofiar nastąpił najpóźniej 1 sierpnia 1988 roku.

Zwłoki prawie tygodniowe, brak stężenia pośmiertnego, które trwa 72 godziny.

Czaszki zwłok zostały owinięte po zabójstwie, albowiem nie ma na nich śladów przecięć.

Rozdział IV

Identyfikacja

6 sierpnia o 15.10 Henryk Łojek zidentyfikował zwłoki numer 6. Należały do jego syna, 11-letniego Tomka Łojka. Elektryk z Piotrkowa rozpoznał go po niebieskich majteczkach i wysuniętych do przodu zębach. Nie miał wątpliwości. Podpis na protokole okazania jest jednak zamaszysty, ale jednocześnie niepewny, jakby składając go, Łojek wciąż był pełen zwątpienia.

Popołudnie było upalne. Pracownicy biur szykowali się do wyjścia. Ci z fabryk godzinę wcześniej skończyli pierwszą zmianę.

Dwadzieścia minut później do tej samej sali identyfikacji ciał wszedł 36-letni Ryszard Kawczyński. Mieszkał z rodziną w Lubanowie pod Piotrkowem. Był operatorem koparki w Fabryce Maszyn Górniczych „Pioma”. Zwykle pewny i zdecydowany mężczyzna dziś nie potrafił, a może nie chciał, jednoznacznie stwierdzić, czy zwłoki oznaczone numerem 4 to jego syn. Jedyne, czego był pewien, to to, że Artur miał „jakby zrośnięte dwa palce u lewej stopy”. Zwłoki numer 4 też miały zrośnięte te same palce. Ostateczną identyfikację Kawczyński pozostawił żonie. Ta potwierdziła, że zmaltretowane i spalone ciało to jej dziecko. Jej podpis na protokole jest nieczytelny.

Jako ostatni, o 15.45, wszedł do sali Stanisław Kaczmarek, lat 38. Kaczmarek był monterem maszyn w Kopalni Węgla Brunatnego Bełchatów. Mieszkał z rodziną w Piotrkowie. Nie potrafił wskazać, które zwłoki to Krzysio. Nie zgadzało się uzębienie. Przy zwłokach numer 5 leżały jednak teksasy. W identycznych Krzys wyszedł tydzień wcześniej z domu i nie wrócił. Podpis Kaczmarka na protokole jest mało czytelny.

Wieczorem okazano ciała jeszcze raz matkom chłopców. Jednoznacznie ustalono, że znalezione pod Piotrkowem zwłoki to:

Tomasz Łojek, lat 11, uczeń klasy V Szkoły Podstawowej nr 8 w Piotrkowie

Trybunalskim.

Artur Kawczyński, lat 12, uczeń klasy VI Szkoły Podstawowej w Grabicy.

Krzysztof Kaczmarek, lat 12, uczeń klasy VI Szkoły Podstawowej nr 6 w Piotrkowie.

Rozdział V

Zaginienie

Jan P. od ponad dwudziestu lat pracował jako kierowca piotrkowskich autobusów. Latem 1988 roku obsługiwał linię numer 7. Ikarusem woził pasażerów z ulicy Źródlanej na Wierzeje. Siódemka przejeżdżała przez całe miasto.

29 lipca zaczął pracę o 4.40. Około 12.30, gdy jechał w kierunku Wierzei, podszedł do niego chłopiec. Poprosił, by kierowca zatrzymał się na przystanku na żądanie. P. zatrzymał ikarusa i jednym guzikiem otworzył wszystkie drzwi. Krzys Kaczmarek wysiadł przednimi. Tego samego chłopca kilka dni później mężczyzna rozpozna na zdjęciu. Tylnymi drzwiami wysiadło dwóch innych chłopców. Kierowca nie był jednak w stanie przypomnieć sobie, jak wyglądali. Pamiętał tylko, że byli w podobnym wieku, co Krzys.

P. pracował też w niedzielę, 31 lipca. Słyszał, jak ludzie wracający w południe autobusem z kościoła rozmawiali o zaginięciu trzech chłopców. Ksiądz ogłosił to podczas mszy.

Dzień później P. znowu jeździł na trasie siódemki. Około 9.30 podszedł do niego ten sam chłopiec, który w piątek prosił, by zatrzymać autobus. Skąd kierowca wiedział, jak chłopiec miał na imię?

[...] będąc przy ul. Słowackiego, podchodzi do mnie i staje przy kabinie chłopiec, który jest na tym zdjęciu [wskazuje Kaczmarka] i w dniu 29 lipca wysiadał przy Bugaju. Nawiązuje ze mną rozmowę, że umie otwierać i zamykać drzwi. Nadmienia, że kiedyś jeden z kierowców pozwolił mu na zamykanie drzwi w autobusie. Odpowiedziałem mu, że ja mu nie pozwolę, ponieważ może przytrzasnąć kogoś przy wsiadaniu. Pytam go również, gdzie jedzie. Odpowiada, że jedzie na Wierzeje nad wodę. Pytam go, czy umie pływać, żeby się nie utopił. Odpowiada, że potrafi pływać. Wysiada na przystanku przy strzelnicy wraz z grupą pasażerów. Nie widziałem, czy w tym dniu był z kolegami.

Jan P. nie skojarzył, że rozmawiał tamtego dnia właśnie z jednym z zaginionych

chłopców. Później już go nie widział.

Krzyś Kaczmarek miał 12 lat. Brunet z zawadiackim uśmiechem. Miał dwóch starszych braci: Adama i Artura. Miesiąc wcześniej skończył piątą klasę. Był wzorowym uczniem. W nagrodę za dobre oceny dostał od ojca motorynkę Romet, miniaturę prawdziwego motocykla – dorosłemu sięgała ledwie do kolan, ale wtedy rozpaliała marzenia wszystkich chłopców w Polsce. Romet Pony rozpędzał się do czterdziestu kilometrów na godzinę. Jeździł dużo szybciej niż rower Wigry. No i palił tyle co nic. Zniesiono właśnie kartki na benzynę, a jej litr kosztował „komercyjnie” trzysta złotych. Za przeciętną pensję można było zatankować raptem cztery baki dużego fiata. Motorynka Krzysia Kaczmarka paliła dwa litry benzyny na sto kilometrów. Była więc nie tylko wymarzona dla małego chłopca, ale i wyjątkowo ekonomiczna dla jego rodziców.

29 lipca przed południem do Krzysia przyszedł kolega mieszkający przy tej samej ulicy, Tomek Łojek. Przyprowadził kuzyna, Artura Kawczyńskiego. Wyciągali chłopca nad zalew na Wierzejach. Dzieciaki z okolicy w wakacje spędzały tam całe dni.

Krzyś zapytał ojca, czy może iść z kolegami nad wodę. Ojciec się zgodził – pod warunkiem, że wróci na obiad.

Kaczmarek junior wyszedł z domu w białych kąpielówkach i krótkich dżinsowych spodenkach. Na rękę miał elektroniczny zegarek na czarnym pasku i z niebieską tarczą. Na obiad nigdy nie wrócił. Zegarek za trzy tysiące złotych milicja znalazła kilka dni później w jednym z mieszkań w Piotrkowie.

Zanim jednak milicjanci odkryli ślady potwornej zbrodni, zgłosiła się do nich kobieta, która była opiekunką młodzieży na obozie harcerskim w Zarzęcinie. To wypoczynkowa wieś nad Zalewem Sulejowskim, kilkanaście kilometrów od Piotrkowa. Mieszkańcy Piotrkowa i Łodzi często cumowali tu swoje łódki. Przede wszystkim jednak Zarzęcin słynął ze stancy harcerskiej. Właśnie w jej okolicy kobieta widziała chłopców w poniedziałek 1 sierpnia, czyli trzy dni po ich zniknięciu, w towarzystwie mężczyzny. Co tam robili i kim był ich towarzysz? Opiekunka opowiadała milicjantom, że tamtego dnia około 20.00 pilnowała wychowanków grających w piłkę. Obserwowała mecz, a od czasu do czasu spoglądała w kierunku bramy wejściowej na teren obozu. Stało tam na warcie kilka harcerek. W pewnym

momencie, gdy zerknęła w tamtym kierunku, zauważyła, że od strony Zarzęcina połą drogą zbliża się do nich wysoki mężczyzna ubrany na czarno. Obok niego szła grupka dzieci.

W pewnym momencie podeszły do mnie wartowniczkę i powiedziały mi, że mężczyzna wraz z idącymi z nim dziećmi chce przejść przez teren naszego obozu. Dziewczynki uprzedziły mnie również, że mężczyzna ten niegrzecznie się do nich odnosił, a nawet wrzucił stojącą obok wartowni ławeczkę na dach tej wartowni. Zezwoliłam dziewczynkom, żeby przepuściły mężczyznę przez teren naszego obozu.

Instruktorza zapamiętała, że był to mierzący 190 centymetrów mężczyzna z kilkudniowym zarostem na twarzy. Na głowie miał słomkowy kapelusz z szerokim rondem, które zakrywało mu twarz. Mężczyzna był w kompletnym czarnym dresie, a z prawej strony do paska miał dopięty toporek przypominający toporek strażacki.

Opiekunka harcerzy najlepiej zapamiętała najmniejszego z chłopców. „Szedł od mojej strony. Był z tych wszystkich najdrobniejszy. Wydawało mi się, że miał na sobie koszulę w kratę. Koloru nie umiem określić. Była jasna”.

Kiedy już opiekunka stała się świadkiem w sprawie morderstwa, pokazano jej tablicę pogładową ze zdjęciami zaginionych chłopców. Powiedziała wtedy: „Jestem pewna, że najdrobniejszym z tych dzieci był właśnie ten chłopiec, który znajduje się na trzecim zdjęciu z góry”.

To był Tomasz Łojek. Najmłodszy. Ten, u którego biegli sądowi stwierdzili „skórę praczek”. To na jego szyi zawieszane były okulary pływackie.

29 lipca przed południem do Tomka przyjechał jego kuzyn Artur. Chłopcy mieli razem spędzić ciepły wakacyjny dzień. Tomek założył brązową koszulkę z kołnierzykiem, granatowe spodnie z obszyciem i niebieskie tenisówki. Pokazał Arturowi klaser ze znaczkami. Wtedy wszyscy zbierali. Najlepiej, jak w klaserze pojawiały się znaczki z zagranicy albo takie wydawane w seriach. Mama Tomka miała akurat urlop. Gdy wychodziła na zakupy, zostawiła synowi klucze do mieszkania. Poprosiła, żeby się nie oddalali. Chłopiec obiecał, że będą się bawili z kuzynem na podwórku przed domem.

Gdy kobieta wróciła, syna na podwórku nie było. W umówionym miejscu były za

to klucze, które zostawił, by mogła wejść do mieszkania.

Zaczęła się martwić około 15.00, gdy po chłopcach wciąż nie było ani śladu.

Skojarzyła, że Tomek często bawił się z Krzysiem Kaczmarkiem, poszła więc do jego rodziców. Krzysia też nie było w domu, choć miał wrócić na obiad, a pora posiłku właśnie się kończyła.

Chłopcy wciąż nie wracali, więc ojcowie postanowili sprawdzić, czy nie pojechali do kuzyna Tomka, Artura. Ale i tam ich nie było.

Stanisław Kaczmarek przypomniał sobie, że dzieci miały iść popływać w podmiejskim jeziorku Bugaj. Tam również ich nie znaleźli, choć kilka godzin wcześniej dzieciaki z sąsiedztwa widziały całą trójkę radośnie skaczącą do wody. Według kolegów jeszcze koło 14.00 chłopcy wyśmienicie się bawili.

Tego samego dnia około 19.00 matka Tomasza Łojka, rodzice Krzysia Kaczmarka i Artura Kawczyńskiego zgłosili zaginięcie swoich dzieci. Tydzień później dowiedzieli się od milicjantów, że ich synowie zostali zamordowani. Sprawca: nieznany. W sześćdziesięcioletnim Piotrkowie zapanowała psychoza strachu.

Rozdział VI

Mężczyzna w słomkowym kapeluszu

Z akt sprawy:

[...] około 20.00 grałem w dwa ognie z przebywającymi na tym turnusie zuchami. Zauważyłem, że około 40 metrów od miejsca, w którym graliśmy, przechodzi trzech małych chłopców i jeden starszy. Starszy miał około 19 lat, 175 cm wzrostu, ubrany był w słomiany kapelusz z małym rondem, posiadał na sobie ciemnobezowy dres, tj. bluzę i spodnie. Na spodniach od strony zewnętrznej nogawek znajdowały się białe pasy. [...] Kiedy jednak już przeszli, idący jako pierwszy za tym mężczyzną chłopiec odwrócił się w kierunku grających. Wówczas to po twarzy rozpoznałem tego chłopca. Był to uczeń naszej szkoły. Chodził do czwartej klasy. Jego brat chodzi ze mną do jednej klasy.

Idący chłopiec to Tomasz Łojek.

Niepokojąco wyglądającego mężczyznę w słomkowym kapeluszu i z toporkiem przy spodniach zapamiętało wiele osób wypoczywających w Zarzęcinie nad Zalewem Sulejowskim.

16-letni chłopiec opowiadał milicjantom o tym, co zobaczył 1 sierpnia, kiedy razem z kolegą stał obok budki wartowniczej obozu harcerskiego. Była 20.30. W pewnej chwili zauważył, że do budki zbliżało się pięciu chłopców. Jeden z nich był krępej budowy ciała, okrągły na twarzy, ubrany w granatowy dres z białymi pasami na rękawach i z boku spodni. W ręku miał scyzoryk z ostrzem długim na trzydzieści centymetrów, Mógł mieć około 20 lat. Drugi – w wieku około 16 lat, szczupłej budowy ciała, ubrany w podkoszulek z krótkim rękawem. Przy prawym boku miał toporek. Trzeci miał około 13 lat, ubrany był w niebieskie spodnie dresowe i podkoszulkę na ramiączkach. O dwóch pozostałych nie był w stanie nic powiedzieć.

Milicjanci pokazali 16-latkowi tablicę poglądową ze zdjęciami zamordowanych chłopców. Rozpoznał Artura Kawczyńskiego: „Rozpoznaję go po uczesaniu-włosach oraz rysach twarzy. Jest to na pewno ten chłopiec, którego wtedy widziałem”.

Artur był najstarszy z trójki zaginionych. Feralnego dnia pojechał z ojcem na targ sprzedawać króliki. Nikt jednak nie był nimi zainteresowany. Schowali więc z ojcem klatki do auta i pojechali do kuzyna. Tomek już na nich czekał. Lubił spędzać czas z Arturem. Ojciec zostawił chłopca w Piotrkowie i wrócił na wieś zająć się gospodarstwem. Na roli nigdy nie brakowało pracy. Umówili się, że chłopiec wieczorem sam wróci autobusem do domu. Nie raz już tak było. Artur był bystrym i bardzo samodzielnym dzieciakiem. Bał się jedynie ciemności. Gdy wieczorem zamykał kaczki, zawsze zabierał ze sobą młodszą siostrę, żeby było raźniej. Tego dnia, gdy ojciec widział go po raz ostatni, ubrany był w białą podkoszulkę, granatowe spodnie z czerwonym obszyciem, granatowe skarpetki w białe gwiazdki i brązowe buty sportowe.

1 sierpnia około 19.30 konnym wozem przez Zarzęcin przejeżdżał rolnik z żoną. Na wysokości stacji harcerskiej spotkali pięć osób.

Szły za nami. Nic z nimi nie rozmawiałem. Oni też nic do nas nie mówili. Jeden z nich był ubrany w czarny dres kompletny, na głowie posiadał kapelusz pleciony ze słomy, wzrostu około 180 cm, średniej budowy ciała. [...] Z tym mężczyzną szło czterech niższych chłopców, jak mi się wydaje, byli w wieku 10–15 lat. Nie jestem w stanie podać ich rysopisów, gdyż nie przyglądałem się im, a ponadto w tej miejscowości o tej porze roku jest dużo wczasowiczów. Gdy dojechałem do domu, zająłem się pracą. Około 21.30 widziałem ponownie tę samą grupę udającą się w kierunku Sulejowa. Szli w tym samym składzie. Nic nie mieli ze sobą, ani pakunków, ani plecaków.

Inny świadek, monter urządzeń ciepłowniczych na terenie Ośrodka Wypoczynkowego w Sulejowie, opowiadał śledczym, że tamtego dnia po południu widział mężczyznę i kobietę, którzy zaczepiali wczasowiczów. Pytali, czy nikt nie widział ich syna i jego dwóch kolegów, którzy wyszli z domu i nie wrócili. Mieli ze sobą zdjęcie chłopca. Monter go rozpoznał. Dzień wcześniej widział, jak po południu i wieczorem w towarzystwie trzech kolegów wałęsał się po ośrodku. Mężczyzna rozpoznał na fotografii Krzysia Kaczmarka. Później już chłopców nie widział.

Milicjanci przesłuchali także wczasowiczów, którzy wypoczywali w Zarzęcinie. Rozmawiali też z pracownikami hufca harcerskiego, między innymi z 27-letnim

kwatermistrem, który od 27 czerwca spędzał w Zarzęcinie urlop z rodziną. Do jego obowiązków należało zaopatrzenie obozu w żywność i środki czystości. Na zakupy jeździł do Sulejowa. W tym czasie jego młoda żona i malutki synek wypoczywali nad wodą.

Kwatermistrz pakował zakupy w kartonowe pudła, które dostawał od kierownika sklepu. Resztki identycznego pudła milicjanci znaleźli przy spalonych zwłokach w lesie. Można było na nim odczytać napis: „Składować do wysokości 7 warstw”. Mężczyzna przyznał, że w takie same kartony, z identycznymi oznaczeniami i napisami, pakował rzeczy, które w lipcu przywoził do stancy. Później pudła wyrzucał na pobliski śmietnik, jakieś dwieście metrów od harcerskiego obozu.

Milicjanci pokazali też kwatermistrzowi lniane ściereczki z czerwonymi i zielonymi paskami. To w nie owinięta była głowa jednego z chłopców. Zaopatrzeniowiec przypomniał sobie, że takie same ściereczki miała jego żona. Leżały przed domkiem wczasowym, w którym mieszkali. Któregoś dnia zniknęły. I choć żona szukała ich przez kolejne dni, nie udało się ściereczek odnaleźć.

Żona kwatermistrza zapamiętała natomiast doskonale dyskotekę 30 lipca. Bawili się na niej harcerze i wypoczywająca nad zalewem młodzież. Około 22.00 wśród bawiących się nastolatków kobieta zobaczyła nieznanego mężczyznę. Był potężnej budowy ciała, a na głowie miał słomkowy kapelusz. Ubrany był w czarny dres. Kobieta była pewna, że na dyskotecę widziała również jednego z zamordowanych chłopców, Artura Kawczyńskiego.

Rozpoznała także dwie lniane ściereczki, które pokazali jej milicjanci. Właśnie takie zginęły jej jakiś czas wcześniej.

Rozdział VII

Podejrzany

Dzień po tym, jak w pobliskim lesie znaleziono spalone ciała trzech chłopców, w sennym dotąd Piotrkowie zapanował strach. Myśl o mordercy paraliżowała całe rodziny. Z dnia na dzień ich pociechy przestały się bawić same na podwórkach, a dorośli stali się bardziej czujni. Zabójca mógł być wszędzie. W pierwszych dniach sierpnia trudno było spotkać dzieci bez opieki dorosłych. Chłopcy przestali bawić się w Indian w zakamarkach kamienic, a dziewczynki same nie grały już w klasy.

6 sierpnia o 13.45, następnego dnia po makabrycznym odkryciu, dyżurny milicji w Piotrkowie odebrał telefon. Dzwonił mężczyzna, który kilkadziesiąt minut wcześniej na przystanku autobusowym na Wierzejach widział wysokiego mężczyznę z brodą. Dziwny typ namawiał czterech chłopców, by poszli z nim do lasu. Dyżurny natychmiast wysłał na miejsce radiowóz. Kilka minut później milicjanci spotkali dzieci, które wskazały mężczyznę. Stał jak gdyby nigdy nic po drugiej stronie ulicy. Próbował złapać okazję, choć jeszcze chwilę wcześniej chciał zwabić chłopców. Ci odmówili, a brodacz przez kilkadziesiąt minut przyglądał im się z bliska.

Przestraszone dzieci poprosiły o pomoc portiera z pobliskiej strzelnicy. To on zadzwonił po milicję.

Funkcjonariusze MO wylegitymowali dziwnie zachowującego się mężczyznę i zabrali go na posterunek. Niedługo później było już wiadomo, że to Andrzej K., pracownik Spółdzielni Inwalidów „Telsin”, w której produkowano podzespoły teletechniczne do radiomagnetofonów i telefonów. Od lat leczył się psychiatrycznie.

Z notatki urzędowej: „W związku z powyższym uważam za stosowne rozliczenie w/w mężczyzny pod kątem znalezienia 5.08.1988 r. zwłok nieletnich w lesie przy m. Koło”.

Andrzej K. miał 34 lata i od dawna chorował na serce. Od wielu lat leczył się też

w poradni zdrowia psychicznego. Mieszkał z dziadkami, dwiema młodszymi siostrami i 15-letnim bratem. Kawaler, był w „Telsinie” pracownikiem fizycznym. Mężczyzna miał wykształcenie podstawowe i nie był wcześniej karany.

W dniu, w którym zatrzymali go milicjanci, w lesie na Wierzejach zbierał grzyby. Miał ze sobą brązową foliową torbę i metalowy nóż. Grzybów tego dnia nie znalazł. Spotkał za to czterech chłopców. Śledczym tłumaczył, że pytał ich jedynie, jakim autobusem dojedzie do centrum miasta.

79-letni dziadek Andrzeja K., który zeznawał jeszcze tego samego dnia, przyznał, że wnuk jest niedorozwinięty umysłowo. Zawsze po pracy wraca do domu i ma tylko jednego kolegę, 42-letniego robotnika z tego samego zakładu pracy.

80-letnia babcia podejrzanego dodała, że Andrzej jest nerwowy, wybuchowy i uparty. Mimo to nie sprawia i nie sprawia żadnych kłopotów. W domu czyta gazety, słucha radia i ogląda telewizję.

W ostatnich dniach, od 1 do 5 sierpnia, Andrzej K. jak zwykle chodził do pracy. Wracał po 14.00. Wieczory i popołudnia spędzał w mieszkaniu. 6 sierpnia miał wolną sobotę i po raz pierwszy w tym roku poszedł do lasu.

Gdy wrócił z przesłuchania, był bardzo zdenerwowany. Powtarzał, że milicjanci wciąż pytali go o jakieś dzieci. Nie wiedział, o co chodzi.

Tego samego dnia śledczy przeszukali piwnicę, która należała do dziadków mężczyzny. Nic podejrzanego nie znaleźli. Tylko stare meble i przetwory własnej roboty.

Rozdział VIII

Notatka urzędowa

6 sierpnia wieczorem, gdy milicjanci przeszukiwali piwnicę dziadków Andrzeja K., na biurko dyżurnego milicji w Sulejowie trafiła notatka urzędowa. Od razu przekazał ją do Komendy Miejskiej w Piotrkowie Trybunalskim.

W związku z odnalezieniem trzech zwłok w dniu wczorajszym w miejscowości Koło, gmina Sulejów, w czasie wykonywania czynności służbowych ustaliłem, że w miesiącu styczniu 1987 roku na terenie podległym KMO w Sulejowie miało miejsce przestępstwo uprowadzenia nieletniego na terenie domków letniskowych w miejscowości Przyglów-Włodzimierzów, w pobliżu sanatorium.

Podejrzany w tamtej sprawie był Mariusz Trynkiewicz. Urodzony w kwietniu 1962 roku mężczyzna mieszkał w Piotrkowie przy ulicy Działkowej. Miał wykształcenie wyższe pedagogiczne. Pracował jako nauczyciel w Szkole Podstawowej nr 7. W styczniu 1987 roku odbywał zasadniczą służbę wojskową. 3 stycznia został zatrzymany na gorącym uczynku: próbował porwać chłopca, któremu założył na głowę foliowy worek. W notatce napisano jeszcze, że dokonał z małoletnim „czynu lubieżnego”. Dochodzenie w tej sprawie prowadziła prokuratora wojskowa.

Milicjanci z Piotrkowa uznali jednak notatkę za mało ważną.

Dopiero kilka dni później dokument przeczytała milicyjna sekretarka. Natychmiast pobiegła z nim kilka ulic dalej, do Komendy Wojewódzkiej. Dokument położyła na biurku kapitana Sielskiego. Ten już wiedział, że układanka zaczyna nabierać kształtu. Trzydzieści lat później powiedział: „Nagle okazało się, że wszystko pasuje. Nauczyciel zafascynowany chłopcami, karany za molestowanie”.

Prokurator Małgorzata Ronc, która od kilku dni nie wychodziła z komendy, wydała rozkaz: natychmiast sprawdzić trop.

11 sierpnia termometry wskazywały 25 stopni Celsjusza. Lato tego roku było wyjątkowo upalne. Biuro młodej prokurator chłodził wiatrak, którego praktycznie nie

wyłączała.

Prokurator Ronc najpierw zadzwoniła do aresztu w Łodzi. Chciała sprawdzić, czy Mariusz Trynkiewicz nie ma przypadkiem przerwy w odbywaniu kary. Było jednak już po 16.00 i w areszcie nikt nie odebrał.

Na urzędowej notatce z komisariatu w Sulejowie zamaszystym pismem prokurator dopisała: „Niezwłocznie dokonać rozpoznania, czy Trynkiewicz przebywa na wolności, i ewentualnie sprawdzić jego alibi”.

W tym czasie milicjanci z Komendy Wojewódzkiej już sprawdzali piotrkowski adres nauczyciela.

Kapitan Sielski przez radiostację dostał sygnał: mężczyzna jest w domu, siedzi razem z ojcem. Doświadczony milicjant natychmiast pojechał na miejsce. Wszedł do mieszkania Trynkiewicza. Pierwsze, co rzuciło mu się w oczy, to lniane story w zielony turecki wzór. W każdym rogu wyhaftowana była bordowym kordonkiem litera T. Nieporadnie wytarte plamy krwi na podłodze świadczyły, że milicjanci właśnie odkryli miejsce zbrodni.

Rozdział IX

Pan Mariusz

„Panie Mariuszu, bez głupot. Skończyła się pańska działalność. Niech się pan spowiada” – zaczął milicjant przesłuchujący zatrzymanego chwilę wcześniej Mariusza Trynkiewicza. Siedzieli w pokoju 313, na pierwszym piętrze w Komendzie Wojewódzkiej Milicji w Piotrkowie Trybunalskim. Za oknem wciąż panował skwar. Słońce nie odpuszczało. Wiatrak, który miał schłodzić pomieszczenie, niewiele pomagał.

Z protokołu przesłuchania podejrzanego:

Imię i nazwisko: Mariusz Trynkiewicz

Stan cywilny: kawaler

Zatrudniony: nie pracuje, przerwa w odbywaniu kary

Stan majątkowy: oprócz motocykla nic nie posiada

Przynależność do organizacji: członek ZSMP, LOK

Stosunek do pokrzywdzonego: obcy

Czy podejrzany przyznaje się do tego, że w dniach pomiędzy 29 lipca a 1 sierpnia 1988 pozbawił życia Tomasza Łojka, Krzysztofa Kaczmarka i Artura Kawczyńskiego, zadając im ciosy nożem, a następnie wywiózł ich ciała do lasu i podpalił?

M.T.: Zrozumiałem przedstawiony mi zarzut, w pełni go rozumiem i przyznaję się do popełnienia zarzucanego mi czynu.

Trynkiewicz zgodził się złożyć zeznania. Śledczym opowiadał, że w 1987 roku został aresztowany za uprowadzenie i czyn lubieżny. Wyrok zapadł w marcu 1988 roku. W areszcie śledczym w Łodzi przebywał do 2 kwietnia, wtedy to dostał przerwę w odbywaniu kary. Za kratki miał wrócić 2 sierpnia. O przerwę wystąpił jego adwokat. Biegli psychiatrzy nie mieli przeciwwskazań, więc sąd przychylił się do wniosku. Trynkiewicz miał obowiązek podleczyć swoje zdrowie psychiczne, regularnie konsultować się z psychiatrami oraz opiekować chorą na serce matką.

Po opuszczeniu aresztu w Łodzi przyjechał do Piotrkowa. Przez dwa dni mieszkał u rodziców, po czym przeprowadził się do mieszkania babci. Ta zamieszkała tuż obok z rodzicami Mariusza. W ten sposób rodzice chcieli jedynakowi stworzyć komfortowe warunki do powrotu do społeczeństwa. Po wyjściu z aresztu Trynkiewicz co miesiąc dostawał od matki i ojca 10 tysięcy złotych. Nie kupował mebli, jedynie drobny sprzęt i produkty niezbędne do życia. Założył akwarium, kupił wziernik oraz zamek do drzwi, przemalował pokój oraz łazienkę. Wszystko robił sam. Miał motocykl Jawa 350, który trzymał w garażu ojca, obok rodzinnego wartburga. Musiał dokupić do niego głowicę.

Mieszkanie babci znajdowało się na pierwszym piętrze. Składało się z przedpokoju, kuchni, łazienki oraz pokoju. Do dyspozycji była także piwnica. „Mam dwa zamki w mieszkaniu, do jednego z nich klucze posiada także babcia. Gdy ja zamknę na dwa zamki, to babcia do mieszkania nie wejdzie. Od mojej piwnicy nikt nie posiada kluczy” – zeznał Mariusz milicjantom.

Początkowo po zwolnieniu przebywał tylko w Piotrkowie. Gdy przysza wiosna, zaczął wyjeżdżać motocyklem do sąsiednich miejscowości: Moszczenicy czy Przygłowa-Włodzimierzowa, gdzie latem mieszkali jego rodzice. W ciepłe dni często odwiedzał to miejsce. Nie miał swoich kluczy do domku letniskowego.

Mariusz utrzymywał kontakty tylko ze Zbigniewem M. Znali się ze szkoły: technikum mechanicznego. Kolega odwiedzał go w soboty lub w niedziele, jeśli Trynkiewicz nie wyjeżdżał akurat do rodziców. Łączyły ich wspólne zainteresowania: łowienie ryb, słuchanie muzyki oraz pasja strzelecka. Poza nim z nikim nie utrzymywał kontaktów.

„Jeżeli chodzi o kobiety, to miałem kiedyś dziewczynę, z którą chciałem założyć rodzinę, miałem w stosunku do niej poważne plany, lecz się to wszystko rozleciało” – zeznał śledczym na przesłuchaniu.

Przyznał: „Z kobietami miałem tylko raz stosunek płciowy”.

Trynkiewicz nie pracował. Nie potrafił śledczym dokładnie powiedzieć, co robił w ciągu dnia. Zwykle wstawał między 7.00 a 7.30. Po śniadaniu podjeżdżał motocyklem do Zbigniewa M. albo szedł do miasta. Chodził po sklepach, a gdy była pogoda, jeździł nad jezioro Bugaj. Z lipca 1988 zapamiętał tylko ostatni dzień miesiąca.

Pamiętam dokładnie, że był to piątek – opowiadał na przesłuchaniu. – Wiedziałem, że mój kolega jest na urlopie, dlatego nie pojechałem do niego. Nie jestem pewny, lecz wydaje mi się, że byłem u swojej ciotki Genowefy. Najprawdopodobniej po pobycie u ciotki byłem również u siebie w domu około godziny 11.00 lub 12.00. Nie jestem w stanie wyjaśnić, dlaczego wróciłem do domu, lecz często tak robiłem. W mieszkaniu przebywałem około godziny czasu. Odpoczywałem. Na pewno byłem ubrany letnio, mogłem mieć spodnie z teksasu lub czarnego sztruku. Na nogach na pewno posiadałem buty, te, które mam w dniu dzisiejszym. Są to buty typu sportowego, koloru czarnego. Posiadałem również kask motocyklowy typu Bella, z napisami nr. rejestracyjnego motocykla. Z tyłu są litery mojego monogramu, MT, jest szyba podnoszona, koloru ciemnego, kask koloru czerwonego.

Tamtego dnia Trynkiewicz pojechał nad jezioro Bugaj. Możliwe, że przejechał także przez most, chwilę na nim stał, nie wyłączając motocykla, a później odjechał w kierunku jeziora. Tu pamięć go zawodziła. Przypominał sobie jednak, że zatrzymał się mniej więcej pośrodku trasy wokół jeziora, przy białej barierce. Postawił motocykl, zabrał kask i torbę, po czym wszedł na nasyp. Zdjął torbę, która go uwierała, i usiadł na nasypie. Dochodziła 13.00. Siedział tak beczynnie jakieś pół godziny. Tego dnia nie pił i nie zażywał żadnych narkotyków.

Opisując, co działo się dalej, Trynkiewicz zaczął kluczyć w zeznaniach przed śledczymi.

Nie jestem w stanie podać dokładnej relacji, tylko jak sobie przypominam, że przebywając na nasypie, najprawdopodobniej spotkałem trzech przechodzących tam chłopców. Rozmawiałem z nimi. Czy ja rozpocząłem rozmowę, czy też oni, nie pamiętam. W czasie tej rozmowy, wydaje mi się, zaproponowałem tym chłopcom coś. Rozumiem przez to, że chciałem skłonić ich, aby przyszli do mnie do domu. Wydaje mi się, że mówiłem im, jak powinni iść, aby dojść do mojego domu. Jest taka ścieżka prowadząca do jeziora Bugaj od stadionu Polonii, a następnie do transformatora i dalej w kierunku osiedla, gdzie znajduje się mój blok. Rozmowy dokładnie w tej chwili nie pamiętam. Pamiętam natomiast dobrze, że motocyklem dojechałem do garażu. Z chłopcami przy jeziorze Bugaj rozstałem się około godziny 14 z minutami.

Trynkiewicz następnie odprowadził motocykl do garażu i postawił obok granatowego wartburga i starego, niesprawnego roweru. Skręcił w wydeptaną dróżkę zwirową i poszedł w kierunku mieszkania. Tam spotkał się z chłopcami.

Szczegóły mu się rozmywały, pamiętał jednak, że weszli do jego pokoju, a on włączył jakąś muzykę z magnetofonu lub radia. Chłopcy poruszali się swobodnie po

pokoju, grali w grę telewizyjną i oglądali klatkę z papużkami stojącą na blacie w kuchni. Zbliżyła się godzina 15.00. Mężczyzna prowadził z chłopcami „taką luźną rozmowę”.

Wypowiadanych wtedy słów i zdań nie pamiętam, lecz temat opierał się o posiadane rybki, grę telewizyjną. Proponowałem chłopcom posiłek, chłopcy nie chcieli i jak pamiętam, nic u mnie nawet nie pili. Mogłem ich poczęstować herbatą, ciastkami, cukierkami, ponieważ takie rzeczy w domu w tym czasie posiadałem. W pewnym momencie poczułem zdenerwowanie, zaniepokojenie. Wydaje mi się, że spowodowane to było tym, że zdałem sobie sprawę, że gdy chłopcy opuszczą moje mieszkanie, powiedzą dorosłym, gdzie przebywali, a ja, nawet nie poczuwając się do winy, mogę być o coś oskarżony, gdyż w przeszłości byłem karany za przetrzymywanie. W momencie gdy narastała we mnie wewnętrzna obawa, chłopcy zwrócili się do mnie ze słowami, że chcą już iść. Do momentu kiedy powiedzieli, że chcą już wyjść, byli rozbawieni, natomiast gdy ja to usłyszałem, nie pamiętam, co wtedy robiłem.

Dalszego przebiegu zdarzenia Trynkiewicz nie był w stanie dokładnie opisać. Jak przez mgłę widzi chłopców leżących w pokoju. Z ust ciekła im krew. Byli cali zakrwawieni. Pamięta, że zakładał im foliowe worki na głowy.

Wydaje mi się, że byłem w łazience i wymiotowałem. Pamiętam, że wyciągałem coś z pościeli, to chyba były prześcieradła. Wyjąłem nawet jakąś część poszewki z walizki znajdującej się w tapczanie. Momentu i sposobu pakowania zwłok nie pamiętam. Przypominam sobie, że spojrzałem na zegarek, była godzina 17. Mieszkanie opuściłem, wychodząc z łazienki.

Po wyjściu z mieszkania zamknął zamek, chwilę postął przy wejściu do klatki i poszedł do rodziców. W mieszkaniu byli ojciec, matka oraz babcia. Pobytu u rodziców ani rozmowy z nimi Trynkiewicz nie pamiętał. Musiał dostać od nich jedzenie, ponieważ następnego dnia widział je w kuchni. Kojarzył jedynie, że gdy siedział u rodziców, był włączony telewizor, a on zauważył, że za jednym z paznokci ma krew.

Przez moją świadomość przechodził fakt, że dokonałem czegoś z tymi chłopcami. Powróciłem do domu. Po wejściu do mieszkania zorientowałem się, nawet dosłownie mówiąc, doszło do mojej świadomości, że ja tu kogoś zamordowałem. Przez pewien czas siedziałem w fotelu i byłem, jak bym to określił, w stanie szoku. Ile to mogło trwać, ile tak siedziałem, tego nie wiem. Ocknąłem się, to było już ciemno. Po przybyciu do domu zażyłem dwie tabletki relanium oraz jedną kapsułkę sinequanu. Zwłoki opakowałem w prześcieradło, poszwę, jakieś

części wyjęte z tej walizki. Robiłem to celem, aby nie przypominało to kształtu ciała ludzkiego. Zwłoki zniosłem pojedynczo do piwnicy.

Po opuszczeniu aresztu Trynkiewicz czuł się osłabiony, na nic nie miał siły. Tak też czuł się w dniu zabójstwa. Znoszenie ciał zabrało mu około dwóch godzin. Po każdym kursie musiał odpocząć. Wychodząc z piwnicy, za każdym razem zamykał ją na kłódkę. Po kolejnym powrocie do mieszkania zobaczył, że w pokoju, gdzie leżały zwłoki, są plamy krwi. Największa i najbardziej rzucająca się w oczy była obok biurka.

Usiadł w fotelu i zasnął. Obudził się około 3.00 w nocy. Dopiero wtedy zaczął myśleć, co zrobić ze zwłokami, które ukrył kilka godzin wcześniej. Na pewno nie mogły tam zostać. Było upalne lato, a z piwnicy korzystali wszyscy lokatorzy.

Bąłem się przechowywać je w piwnicy, dlatego udałem się do garażu, skąd wyprowadziłem wartburga. Kluczyki do tego samochodu leżały na siedzeniu. Podjechałem samochodem na ul. Garbarską, róg ulicy Działkowej, ustawiłem go na wysokości 3 klatki. Zszedłem do piwnicy.

Trynkiewicz, wychodząc z garażu, chwycił również wojskową pałatkę. Po ustawieniu samochodu zszedł do piwnicy i rozłożył pałatkę na korytarzu. Zawijał w nią zwłoki i związywał wojskowymi paskami. Zapakowane ciała prznosił kolejno do trzeciej klatki, a stamtąd do auta. Ciała martwych chłopców, owiniętych szczelnie w prześcieradła, szmaty i worki foliowe, układał na tylnym siedzeniu samochodu.



fot. Adam Staśkiewicz / East News

Wszystko to zajęło mu blisko godzinę. Zwłoki w aucie przykrył wojskową peleryną, w której je przeniósł, i pojechał do lasu w rejonie Koła. To las położony najbliżej jego osiedla.

Nie chciałem spotkać patroli milicyjnych. Wiedziałem, że na ulicy Sulejowskiej często stoją patrole. Jadąc w kierunku lasu, nie miałem zaplanowanego miejsca zawiezienia zwłok. Nie wiedziałem jeszcze, w jaki sposób się ich pozbędę. Zakładałem, że porzucę je w lesie. W czasie jazdy, gdy zobaczyłem butelkę z benzyną, pomyślałem, że dobrze by było, abym je jeszcze podpalił. Podpalenie miało na celu zatarcie wszystkich śladów. Miałem tu na myśli odciski palców. Ja nie znam dobrze kompleksu leśnego, chociaż wiedziałem, że w lesie tym znajdują się drogi: dukty leśne. Jadąc, rozglądałem się, gdy zobaczyłem dosyć dużą gęstwinę. Zatrzymałem samochód, cofnąłem się jakieś 3 metry i wjechałem w prawą drogę.

Trynkiewicz przejechał tą drogą kilkadziesiąt metrów. Zatrzymał auto, kolejno wyjął zwłoki z samochodu i przeniósł je na prawą stronę duktu. Nieopodal leżało ułożone w stosy drewno. Po pozostawieniu zwłok cofnął samochód do skrzyżowania leśnych dróg. Nie mógł znaleźć butelki z benzyną. W końcu wygrzebał ją zza przedniego siedzenia. Auto zostawił na pracującym silniku i podszedł z butelką do

zwłok. Wylał zawartość na ciała chłopców, którzy jeszcze dzień wcześniej żyli i o tej porze bezpiecznie spali w swoich domach. Kilkakrotnie próbował je podpalić zapalnikami. Udało mu się dopiero po paru minutach. Odchodząc, zobaczył, że zwłoki palą się intensywnym ogniem.

Wsiadł do samochodu i wrócił do Piotrkowa. Jechał bez świateł, bo robiło się już widno. Wówczas nie było jeszcze obowiązku ich włączania w ciągu dnia. Po drodze minął nadjeżdżający z przeciwka autobus. Trynkiewicz przestraszył się, że ktoś go widział. Zjechał na pobocze i zatrzymał się. Pekaes zniknął za zakrętem drogi w kierunku Koła. Po kilku minutach Trynkiewicz ruszył dalej. Zostawił wartburga w garażu. Zanim wyszedł, zabrał z auta brudną od krwi tylną gumową wykładzinę, która leżała przed siedzeniami, oraz wojskową pałatkę. Wyrzucił ją kilkadziesiąt sekund później do metalowego wózka na kółkach, który stał nieopodal sklepu. Wózek służył do rozwożenia mleka co rano pod drzwi mieszkańców. Gumową wycieraczkę Trynkiewicz zabrał do mieszkania, żeby ją umyć.

Od razu położył się spać. Zasnął natychmiast. Obudził się dopiero około 11.00. Zjadł śniadanie: chleb z masłem i żółtym serem, wypił herbatę i zabrał się do ścierania plam z krwi. Tą samą szmatą, którą umył podłogę w mieszkaniu, wytarł również posadzkę w piwnicy. Następnie podłogę wypastował, a w piwnicy na posadzkę wylał żółtą farbę emulsyjną. Miała zakryć plamy krwi i zamaskować nieprzyjemny zapach po zwłokach. Zacieranie śladów zajęło mu ponad dwie godziny. Na końcu wymył gumową wycieraczkę z samochodu. Do kontenera przed blokiem wyrzucił dwie szmaty: jedną wykonaną ze stylonu w żółto-pomarańczowe kropki, drugą z flaneli. Milicjanci szmat nigdy nie znaleźli, ale Trynkiewicz dokładnie pamiętał, jak wyglądały – choć nie pamiętał, jak i dlaczego zabijał. Około 13.00 pojechał do rodziców do Włodzimierzowa. Ani słowem nie wspomniał o zbrodni. Nie dał po sobie poznać, że stało się coś złego. Był taki jak zwykle. Około 17.00 wrócił do siebie do Piotrkowa. Siedział w mieszkaniu sam.

W sobotę lub niedzielę, nie potrafił sobie przypomnieć, ponownie odwiedził rodziców na letnisku. Jak zwykle pojechał motocyklem. Widziało go wiele osób: sąsiadka F., która przyszła odwiedzić jego matkę, państwo M., którzy mieli działkę w pobliżu, oraz pan G., który wynajmował sąsiedni domek letniskowy. Tego dnia

przypomniał rodzicom o telefonie do mecenasa w Łodzi, który miał wniesć o przedłużenie jego przerwy w odbywaniu kary.

Następny dzień i kolejne również nie odbiegały od schematu. Jeździł na motocyklu, czasami pił alkohol i regularnie wpadał do rodziców na obiad. Tak opisywał jeden z dni zaraz po morderstwach:

Przypominam sobie, że prosto z mojego mieszkania pojechałem motocyklem do mieszkania ciotki Genowefy, gdzie byłem około godziny 12.00. Przebywałem u niej około 1 godziny i ciotka przekazała mi pieniądze w kwocie 3000 złotych. Następnie pojechałem do sklepu „na ryneczku”, gdzie kupiłem jedną butelkę spirytusu o pojemności 0,375, płacąc za nią 3400. W sklepie zoologicznym na ulicy Niecałej kupiłem pokarm dla papug, w paczkowanych torebkach w cenie 150 zł. Następnie udałem się do mieszkania i rozmieszałem spirytus w butelce po napoju alkoholizowanym. Wypiłem około 150 gram tego alkoholu i o godzinie 16.00 udałem się do rodziców.

Ojciec akurat rozmawiał przez telefon z mecenasem. Prawnik poinformował go, że 2 sierpnia Mariusz musi zgłosić się do Sądu Garnizonowego w Łodzi u sędziego F. Tego dnia miało się odbyć posiedzenie w sprawie przedłużenia przerwy w odbywaniu kary. Matka sprawdziła, o której odjeżdżają autobusy do Łodzi. Następnego dnia z postoju przy ulicy Sulejowskiej Trynkiewicz zamówił białą taksówkę, fiata 125p, i pojechał na dworzec PKS. Odjechał do Łodzi autobusem przelotowym. Sędzia poinformował go, że postanowienie o przedłużeniu przerwy w odbywaniu kary otrzyma pocztą. Po powrocie do Piotrkowa Trynkiewicz odwiedził w pracy mamę, opowiedział o rozprawie, po czym wrócił do swojego mieszkania.

W czasie gdy Mariusz Trynkiewicz składał obszerne zeznania na komendzie, w jego mieszkaniu pracowali milicjanci. Zabezpieczali ślady potwornej zbrodni. Przed blokiem gromadził się tłum.

„Ogłędziny rozpoczęto w porze dziennej, widoczność dobra, temperatura powietrza około 25 stopni. [...] Drzwi wejściowe (do mieszkania) od strony zewnętrznej pomalowane farbą emulsyjną w kolorze jasny orzech. Na drzwiach tych w górnej części znajduje się tabliczka, na której znajduje się cyfra 25. Pod cyfrą przymocowane są dwie wizytówki, F.W. K. i druga o treści M. Trynkiewicz”.

Śledczy skrupulatnie opisali mieszkanie Trynkiewicza: białe od wewnętrznej drzwi

do mieszkania z czterema różnymi zamkami, do tego zamkiem podklamkowym. W górnej części drzwi, na drewnianej desce, namalowana głowa tygrysa z otwartą paszczą i napis „My home is my castle”. Na tych samych drzwiach czarną farbą dopisano: „Jeśli dane ci jest chodzić po cienkim lodzie współczesnego życia, ciągnąc za sobą milczące wyrzuty miliona załamanych oczów, nie bądź zdziwiony, gdy szczelina w lodzie pojawi się pod twoimi nogami”.

U dołu drzwi milicjanci znaleźli czerwono-brunatne plamy przypominające krew. W ciągu kilku godzin technicy kryminalistyki ujawnili ślady krwi niemal w całym mieszkaniu.

„Na ścianie po prawej stronie od drzwi łazienkowych, poniżej wyłącznika elektrycznego, ujawniono plamy w kolorze czerwono-brunatnym, swoim wyglądem przypominające krew. [...]

Na ścianie w przedpokoju widoczna jest zawieszona podkowa, pomalowana farbą koloru czarnego, na której widoczny jest napis »The Satan«.

W łazience, na półce pod lustrem stały dezodorant Rywal, krem i pędzel do golenia oraz maszynka z wymiennymi żyletkami. Obok otwarte pudełko żyletek Polsilver – w latach 80. na wagę złota. Podłoga w łazience wyłożona była brązowo-żółtymi płytkami ceramicznymi z fabryki w Opocznie. Na jednej z nich również widoczne były ślady krwi. Na tym oględziny przerwano, a drzwi do mieszkania zabezpieczono plombami z plasteliny.



fot. Cezary Pecold / SE / East News

Prace wznowiono następnego dnia rano. Kolejnym dokładnie sprawdzanym pomieszczeniem był tak zwany duży pokój – jedyny w tym mieszkaniu, a więc pełniący też funkcję sypialni. Na podłodze przy drzwiach leżały jasne męskie sztruksowe spodnie i krótkie spodenki z teksasu. Obok zwijany ekran służący do wyświetlania przezroczy. Na jego metalowej obudowie znaleziono brunatną plamę o średnicy centymetra. Na ścianie wisiały kalendarz, drewniany talerz w wypalane wzory oraz słomiana mata z przypiętymi proporczykami. Na górnej półce w regale ułożone były płyty gramofonowe, książki o tematyce pedagogicznej, beletrystyka, encyklopedie i słowniki. W szufladach znajdowały się pudełka z przyborami do pisania, papiery, kredki, teczki ze zdjęciami.

W środkowej części pokoju stały drewniana ława, dwa fotele i pufa. Na podłodze leżał sznurkowy brązowo-szary dywan w kratkę.

Na wewnętrznej ścianie śledczy znaleźli kolejne nieregularnie brunatne plamy przypominające krew. W mieszkaniu Trynkiewicza pracowali przez trzy dni.

Rozdział X

Nauczyciel

Mariusz Trynkiewicz urodził się w 1962 roku w rodzinie inteligenckiej. Był jedynym dzieckiem Urszuli i Władysława Trynkiewiczów.

Jak wspomina matka, ciąża i poród przebiegły bezproblemowo. Rodzice niecierpliwie czekali na potomka. W pierwszych latach chłopiec był okazem zdrowia. Państwo Trynkiewiczowie chwalili się synem.

Gdy Mariusz miał 6 lat, zachorował na żółtaczkę. Odtąd rodzice zaczęli zauważać u niego dziwne zachowania. W nocy budził się, chodził po mieszkaniu, rozmawiał przez sen z rodzicami. Nad ranem nigdy nic nie pamiętał. Lunatykowanie trwało ponad dwa lata. Poza tym był spokojnym, grzecznym chłopcem. Chwaliły go panie w przedszkolu, a później nauczycielki z podstawówki, do której chętnie chodził. Z klasy do klasy zdawał z plaketką wzorowego ucznia, a na koniec roku szkolnego przynosił do domu nagrody.

Do renomowanego piotrkowskiego I Liceum Ogólnokształcącego dostał się bez egzaminów. Tu jednak zaczęły się pierwsze problemy. Mariusz nie miał kolegów, regularnie wagarował, dostawał coraz słabsze stopnie. Trynkiewiczowie coraz częściej odwiedzali wychowawcę.

Po pierwszej klasie szkoły średniej ojciec przeniósł Mariusza do technikum mechanicznego. Chłopak specjalizował się w aparaturze kontrolno-pomiarowej. Oceny były coraz lepsze, a skargi od nauczycieli rzadsze. Trynkiewicz wygrał nawet olimpiadę techniczną. Kończącą pracę dyplomową pisał o obozach zagłady z czasów II wojny światowej.

Jako laureat olimpiady miał wstęp na wybrane uczelnie w Polsce. Początkowo chciał studiować w Krakowie – zmieniły się jednak zasady rekrutacji i nie został przyjęty. Wtedy po raz pierwszy przeszedł załamanie nerwowe. Trwało jednak krótko. W tym samym roku w Piotrkowie utworzono filię Wyższej Szkoły Pedagogicznej

w Kielcach. Trynkiewicz złożył wymagane dokumenty i został studentem.

Tak tamten okres wspominała w rozmowie z milicjantami matka Mariusza Trynkiewicza:

Wiem od syna, że na roku było tylko trzech chłopców, pozostałe to dziewczęta. Rozmawiałam z nim o tym, że najwyższy czas nawiązać jakąś znajomość bliższą z dziewczyną, że może dobrze by było, gdyby się ożenił. Mariusz miał kompleks jedyńka. Mówił o tym ze mną. Tłumaczył się, że na uczelni nie może z żadną z koleżanek nawiązać bliższej znajomości, bo pozostali obraziliby się na niego, że robi wyłom. Wszyscy tworzyli jak gdyby paczkę. Zdawałam sobie sprawę, że tak nie jest, i tłumaczyłam mu, że to jest najlepszy okres na poznanie kogoś bliskiego. Uświadomiłam sobie wówczas, że z Mariuszem coś jest nie tak.

Trynkiewicz przez trzy lata uczęszczał na studia dzienne, a przez ostatnie dwa studiował zaocznie. W tym czasie pracował już w szkole podstawowej jako nauczyciel wychowania technicznego. Był opiekunem grupy chłopców w piotrkowskiej „jedenastce”. Uczył w klasach V–VII. Prowadził również Szkolne Koło Fotograficzne i Szkolne Koło Strzeleckie. Dyrektor szkoły pamiętał, że młody nauczyciel był sumienny i przykładał się do lekcji. Uczniowie, głównie chłopcy, bardzo chętnie uczestniczyli w jego zajęciach: „młodzież garnęła się do niego”. Podobnie odbierali go koledzy z pracy, choć z nikim nie nawiązał bliższych kontaktów.

Opinia ze Szkoły Podstawowej nr 11:

Obywatel Mariusz Trynkiewicz rozpoczął pracę w SP nr 11 dnia 1 września 1984 r. po ukończeniu Studium o kierunku nauczanie początkowe. Uczył zajęć praktyczno-technicznych chłopców w klasach V–VIII oraz prowadził praktyki uczniowskie.

Do zajęć lekcyjnych przygotowywał się sumiennie pod względem rzeczowym i merytorycznym. Starał się o właściwy wygląd pracowni zajęć technicznych oraz dbał o właściwe wyposażenie pracowni w pomoce naukowe.

Uspodobienie ma flegmatyczne, jest małomówny, raczej nieśmiały. W stosunku do współpracowników kulturalny i koleżeński.

Jego usposobienie miało wpływ na pewną tolerancyjność w stosunku do młodzieży, czasami miał kłopoty z utrzymaniem dyscypliny, ale nie na tyle jednak, by wynikały z tego faktu skargi czy kłopoty natury wychowawczej.

Okres studiów to początki eksperymentów z lekami. Trynkiewicz zaczął zażywać relanium – początkowo tylko przed egzaminami, później już regularnie. Często

o tabletki prosił matkę.

Z zeznań Urszuli Trynkiewicz:

W czasie studiów przed egzaminami syn nie raz prosił mnie o relanium. Odmawiałam. Nie chciałam, żeby zażywał takie leki. Kiedyś nawet przyniósł mi wycięty z gazety artykuł na temat: dlaczego studenci zażywają relanium. Mówił mi wtedy, że na roku koledzy i koleżanki nagminnie zażywają ten lek dla uspokojenia. Nie raz więc prosiłam panią doktor o zapisanie leku i dawałam Mariuszowi. Po jakimś czasie zauważyłam, że syn zażywa coraz więcej relanium, że uzależnia się. Ograniczałam mu relanium, ale wiedziałam, że może dostać je od kolegów i bierze więcej, niż mu wydzielałam. Sam mówił do mnie, że jest uzależniony od relanium, błagał mnie nie raz o jedną czy dwie tabletki. Mówiłam do syna, że trzeba z tym iść do lekarza, ale on tłumaczył mi, że to normalne, że wszyscy tak robią, a jak będzie miał uregulowane życie, to z pewnością nie będzie zażywał.

Błędy maszynowe w pracy magisterskiej stanęły mu na drodze do kariery naukowej. Nie został dopuszczony do obrony w pierwszym terminie. Chwilę później dostał powołanie do wojska. To było drugie załamanie nerwowe i wtedy po raz pierwszy wspomniał o samobójstwie.

10 października 1986 roku Mariusz Trynkiewicz złożył przysięgę wojskową w jednostce w Koszalinie. Po kilku tygodniach przeniesiono go do jednostki w Tomaszowie Mazowieckim. Stąd miał już tylko trzydzieści kilometrów do rodzinnego domu.

W grudniu 1986 roku podczas przepustki po raz pierwszy zaatakował chłopca. Tego dnia rodzice znaleźli w mieszkaniu mundur i kartkę, że Mariusz wróci wieczorem. Gdy było już późno, a syn wciąż nie wracał, ojciec postanowił poszukać go na działce we Włodzimierzowie. Mariusz spędzał tam sporo czasu bez względu na porę roku. Jednak w domku nikogo nie było. Były za to ślady męskich butów na śniegu. Jak gdyby ktoś coś ciągnął. Dopiero kilka dni później prokuratura wojskowa poinformowała rodziców, że ich syn napadł i przetrzymywał nastolatka. Trynkiewicz wytłumaczył ojcu i matce, że chciał tylko z chłopakiem porozmawiać, a ten się przestraszył i uciekł. Kilkanaście minut później mężczyznę zatrzymała milicja. Zapewniał rodziców, że dziecku nic nie zrobił. Z aktu oskarżenia: „Użył przemocy oraz groźby bezprawnej w celu zmuszenia 13-letniego Roberta W. do określonego

zachowania się i pozbawił go wolności w ten sposób, że związał mu ręce sznurem, włożył na głowę worek foliowy, uniemożliwiając mu obserwację otoczenia, po czym zabraniając wezwania pomocy, siłą doprowadził do domku letniskowego usytuowanego przy ulicy Rzecznej. Przetrzyzymał go przez okres 3 godzin, po czym zwolnił go i nieletni udał się do domu. W tym czasie nieletniego uderzył dłonią w twarz”.

W styczniu 1987 roku zaatakował po raz drugi.

„We Włodzimierzowie pozbawił wolności 14-letniego Pawła P. w ten sposób, że związał mu ręce sznurem, włożył na głowę maskę uniemożliwiającą obserwację otoczenia, po czym trzymając go za rękę, doprowadził do domku letniskowego swoich rodziców, gdzie przetrzymał przez kilka godzin, a następnie wypuścił”.

Przed Sądem Garnizonowym kapral Trynkiewicz zeznał, że nie pamięta momentów, gdy chłopców molestował. W te dni zażywał relanium. Odprężało go i likwidowało stany napięcia.

Sędzia skazał młodego żołnierza na rok pozbawienia wolności z warunkowym zawieszeniem na dwa lata. Biegły psychiatra stwierdził po raz pierwszy nieprawidłową osobowość o cechach psychopatycznych oraz ujawnienie się trwałych nieprawidłowych zachowań seksualnych o charakterze pedofilnym z popędem homoseksualnym.

W czerwcu 1987 roku, podczas kolejnej przepustki, Trynkiewicz zaatakował po raz trzeci.

„Podstępnie sprowadził 12-letniego Szymona F. do domku letniskowego swoich rodziców w Przygłowie. Przetrzyzymał go przez około 5 godzin. Dopuścił się czynu lubieżnego polegającego na tym, że polecił pokrzywdzonemu rozebrać się i położyć na łóżku, a następnie dotykał jego ciała w okolicach brzucha, szyi i pod pachami”.

Tym razem sąd skazał już Trynkiewicza na karę bezwzględnego więzienia i ostatecznie mężczyzna trafił do aresztu śledczego w Łodzi.

W areszcie przy Smutnej pracował jako magazynier. Miał dobrą opinię. Wychowawcy podkreślali, że jest osobą zrównoważoną i nie przejawia cech zdemoralizowania. Do kwietnia 1988 roku dostał tylko jedną naganę – za spanie

w ciągu dnia. Dlatego sąd przychylił się do prośby skazanego o kilkumiesięczną przerwę w odbywaniu kary.

Trynkiewicz zadeklarował, że podczas przerwy będzie się opiekował chorą matką. Lekarze już wcześniej zdiagnozowali u niej jaskrę i problemy z sercem.

Opuścił areszt 2 kwietnia. Miał do niego wrócić 2 sierpnia.

Podczas zwolnienia każdy dzień Trynkiewicza wyglądał podobnie. Również ten, gdy poznał i zamordował trzech chłopców – w zeznaniach jego matki nie pojawia się nic szczególnego.

Zeznania Urszuli Trynkiewicz:

29 lipca 1988 był to piątek. Oboje z mężem pracowaliśmy. Samochód stał w garażu do 30 lipca. Kluczyki były w samochodzie. Syn próbował robić prawo jazdy na samochód, ale nie zdał egzaminu i zrezygnował z poprawki. Mariusz nie rwał się do jazdy samochodem. [...] Jak pamiętam, w piątek był u nas w domu zaraz po godzinie 15.00. Był krótko, bo jak mówił, idzie do siebie, bo zaraz ma do niego przyjść kolega Zbyszek M. Wychodząc, powiedział, że w sobotę nie przyjedzie. Nie zauważyłam, aby był zdenerwowany lub zmieniony. Zachowywał się normalnie.

W niedzielę 31 lipca Trynkiewicz pojechał do rodziców na letnisko. Był spokojny. Rozmawiali o szansach na przedłużenie przerwy w odbywaniu kary.

Z zeznań matki:

Mariusz nigdy nie miał czarnego dresu, w ogóle od dawna nie miał dresu, nie nosił słomkowego kapelusza, nigdy go w nim nie widziałam. Mieliśmy na działce we Włodzimierzowie toporek strażacki, który ja przyniosłam do domu. Mariusz nie używał go nigdy”.

Gdy 7 sierpnia Trynkiewicz jak zwykle odwiedził rodziców na działce, pytał, czy oglądali w sobotę *Dziennik Telewizyjny*. Wspomniał, że mówili tam o ciałach znalezionych w lesie pod Piotrkowem. Na koniec dodał wyraźnie przejęty: „No tak. Czy może być amnestia, jak się dzieją takie rzeczy?”.

Tego samego dnia wieczorem spiker w Programie Pierwszym Telewizji Polskiej poinformował widzów, że znalezione ciała to zwłoki chłopców. Urszula Trynkiewicz: „Mąż postanowił pójść do Mariusza i przygotować go, że mogą go sprawdzać z uwagi

na jego poprzednie czyny. Mąż poszedł, zastał go w domu, po powrocie powiedział mi, że Mariusz wykąpany siedział w fotelu i słyszał ten komunikat. Mówił do męża, że też się zdenerwował, że mogą go sprawdzać, co robił w tym dniu”.

Władysław Trynkiewicz uprzedził wtedy syna, żeby wyrzucił z domu wszystkie noże, „bo po co mu one”. Następnego dnia Mariusz uspokajał rodziców: „Tata, możesz być spokojny, żadnych noży nie ma”.

10 sierpnia tysiące mieszkańców Piotrkowa wzięło udział w uroczystościach pogrzebowych Krzysia Kaczmarka i Tomka Łojka. Mężczyźni w białych koszulach z krótkimi rękawami nieśli trumny, w których spoczywały szczątki zamordowanych chłopców. Na czele konduktu szła orkiestra górnicza Fabryki Maszyn Górniczych „Pioma”, dalej księża, za nimi rodziny. Rodzice i starszy brat Tomka Łojka: chłopiec w białej koszuli, matka w czarnej sukience, ojciec w czarnym garniturze, białej koszuli i cienkim czarnym krawacie. Zapadnięta twarz rudowłosej kobiety odzwierciedlała tragedię, która wydarzyła się w jej życiu. Tuż obok ojciec Krzysia Kaczmarka i starszy syn podtrzymywali słaniającą się matkę zamordowanego chłopca, która sprawiała wrażenie, jakby nie wiedziała, co dzieje się wokół. Wszyscy ubrani byli na czarno. Za kilkanaście lat ten sam syn, który wtedy, na pogrzebie wspierał Reginę Kaczmarek, popełni samobójstwo. Za rodzinami szedł tłum mieszkańców Piotrkowa i dzieci z tutejszych szkół. Uczniowie podstawówek nieśli wieńce, do białych bluzek mieli przypięte tarcze. Szli ze spuszczonej głowami. W żałobnym konduktie szła też matka Mariusza Trynkiewicza. Pracowała wówczas w laboratorium kolejowym. Ona i jej koleżanki były wstrząśnięte zbrodnią.

Po południu podczas obiadu powiedziała do syna: „Nie mogła tego zrobić jedna osoba, tylko więcej. Tacy powinni otrzymać karę śmierci bez sądu”.

Dzień później Mariusz Trynkiewicz został zatrzymany przez piotrkowskich milicjantów.

Urszula Trynkiewicz: „Naprawdę nic u niego nie zauważyłam, żadnej zmiany w dniu 29 lipca ani w dniach następnych. Przecież jak zdechł kanarek albo pies, to Mariusz przeżywał to bardzo, jeździł i we Włodzimierzowie zakopywał je. Potrafił wtedy przez dwa dni nic nie jeść”.

Już po zatrzymaniu Trynkiewicza odbył się pogrzeb trzeciego chłopca, Artura Kawczyńskiego. W rodzinnej wiosce, skromny, z udziałem najbliższych.

Rozdział XI

Chłopcy

Chłopcy w przeróżnym wieku odwiedzali często „pana od techniki”, który akurat miał przerwę w odbywaniu kary więzienia.

Z Konradem i Tomkiem Trynkiewicz chodził tamtego lata na strzelnicę i nad jezioro Bugaj. Przedstawił im się jako były żołnierz – i imponował jak mało kto. Obiecał im udział w zawodach strzeleckich. Główną wygraną miała być wiatrówka. „Pan od strzelania” zobowiązał się wytrenować nastolatków tak, by nagroda była w ich zasięgu. Dopiero stanowcza interwencja młodej ciotki Konrada sprawiła, że chłopcy przestali się spotykać z nieznanym mężczyzną.

Z zeznań Heleny R., ciotki chłopca:

Cała ta sprawa wydała mi się podejrzana, więc zaczęłam wypytywać Konrada o szczegóły. Powiedziałam do niego nawet, że przecież to może być jakiś zboczeniec. W odpowiedzi usłyszałam, że to taki miły człowiek i bardzo dobrze się chłopcom z nim rozmawiało. Powiedział, że to jest żołnierz obecnie przebywający na urlopie. Prosiłam go, żeby tam nie szedł, a Konrad: „Ciociu, ale nas tam będzie trzech”. Ja jednak nadal obstawałam przy swoim. Konrad nie poszedł tego dnia na spotkanie z Mariuszem Trynkiewiczem.

Sporo szczęścia miał też 12-letni Marcin z Piotrkowa, który wraz z kolegą w kwietniu 1988 roku odwiedził mieszkanie „nauczyciela” kilkakrotnie. Pan Mariusz pokazywał chłopcom noże, wiatrówkę i uczył ich teorii strzelectwa. Obiecał, że załatwi im sportowe dresy, ubranie moro z Ligi Obrony Kraju i legitymację koła strzeleckiego. Warunek był jeden – nie mogli o nim rozmawiać z dorosłymi. Odwiedziny skończyły się, gdy „pan od strzelania” kazał się chłopcom rozebrać do naga. Nigdy więcej do jego mieszkania nie wrócili.

Mariusz W., który tamtego lata skończył 13 lat, „pana z wąsem” poznał w czerwcu 1988 roku na ulicy. Mężczyzna zapytał chłopca, czy nie chciałby się zapisać do sekcji

strzeleckiej. Zaprosił go do domu, gdzie strzelali z wiatrówki do tarczy. Za każdym razem Mariusz Trynkiewicz kazał się nastolatkowi rozbierać do majtek, „by ubrania nie krępowały ruchów podczas strzelania”. Później chłopak strzelał w kostiumie gimnastycznym, który zawsze zabierał do pana Mariusza. Wszystko odbywało się w tajemnicy przed rodzicami. „Kostium gimnastyczny dostałem od Trynkiewicza. Kiedy byłem już gotowy do rozgrzewki, zakładał mi opaskę na oczy, przez którą nic nie widziałem. Wtedy paskiem ze skóry sprawdzał mi mięśnie nóg i rąk. Po zdjęciu opaski robiłem pompki i przysiady. Po rozgrzewce strzelałem”.

Podczas jednego ze spotkań Trynkiewicz kazał się chłopcu rozebrać do naga i przyglądał mu się przez dłuższą chwilę. Gdy zaczął go głaskać po plecach i dotykać części intymnych, 13-latek uciekł i nigdy do tego mieszkania nie wrócił. Mariusz powiedział rodzicom o tajemniczym „panu od strzelania” dopiero, gdy cała Polska żyła sprawą pedofila mordercy.

Robert i Tomek znali Mariusza Trynkiewicza ze szkoły podstawowej, gdzie prowadził kółko fotograficzne. W czerwcu spotkali go, kiedy naprawiał motocykl, podeszli do niego i zaczęli rozmowę. Były nauczyciel umówił się z nimi na pobliskiej strzelnicy. Tego dnia była jednak zamknięta. Trynkiewicz zaproponował, że mogą postrzelać z wiatrówki u niego w domu. Następnego dnia już o 8.00 rano Tomek odwiedził jego mieszkanie. Na kolejne spotkanie Trynkiewicz znowu umówił się z chłopcami na strzelnicę. Tym razem zaznaczył, że jeśli on nie mógłby dotrzeć, to przyjedzie jego kolega. Tego dnia nie pojawił się jednak ani Trynkiewicz, ani kolega, a chłopcy zerwali znajomość z nauczycielem.

Tomek zeznał: „Jedno z ćwiczeń polegało na tym, że siadałem u Trynkiewicza na kolanie i robiłem skłon do przodu przez jego kolano. Byłem tam około 4 godzin. Przez cały czas starałem się strzelać. [...] Głównym powodem, dla którego przestałem chodzić, to było, że Trynkiewicz kazał mi się rozebrać do naga”.

Tamtego lata do milicjantów zgłosiło się kilkunastu chłopców z rodzicami, którzy napotkali na swojej drodze pana Mariusza.

Rozdział XII

Świadkowie

Milicjanci w sierpniu 1988 roku przesłuchali dziesiątki świadków – wśród nich bliższych i dalszych sąsiadów Mariusza Trynkiewicza. Wszystkich, którzy mogli cokolwiek wniesić do sprawy. Ich zeznania często zupełnie różniły się z tym, co zeznał oskarżony.

Grupka mężczyzn mieszkających w tym samym bloku pamiętała, że 3 sierpnia około 17.00–18.00 padał deszcz. Widzieli Trynkiewicza, jak ciągnął od strony klatki, w której mieszkał, „jakiś pakunek”. Jak wynikało z relacji mężczyzn, przeciągnął go w kierunku garażu.

Z protokołu przesłuchania:

W czasie kiedy stałem w tej klatce, zauważyłem w pewnej chwili znanego mi mężczyznę mieszkającego w bloku nr 8, który ciągnął za sobą jakiś pakunek. Nie znam nazwiska tego mężczyzny. [...] Pakunek, jaki ciągnął po ziemi, owinięty był w jakąś dermę, ale nie jestem pewien dokładnie. Nie był to w każdym razie tekturowy karton. Wszyscy zwróciliśmy uwagę na tego mężczyznę. Zdziwiliśmy się, że ktoś w deszczu przeciąga jakieś pakunki.

Dwie sąsiadki zeznały, że w dniach przed zaginięciem chłopców i po nim Mariusza Trynkiewicza odwiedzali dwukrotnie młodzi mężczyźni w wieku około 20 lat:

Przypominam sobie tylko, że w dniu, w którym pożyczyłam mu drugi raz pieniądze, to widziałam, jak Mariusz Trynkiewicz wchodził do swojego mieszkania z drugim mężczyzną, którego jednak nie znałam. Mężczyzna ten mógł być w wieku około 20–22 lat, posiadał włosy koloru blond dosyć długie i ubrany był w kurtkę i spodnie koloru żółtego bądź piaskowego.

Sam Mariusz Trynkiewicz zaprzeczał, by ktokolwiek był u niego poza jedynym kolegą, jakiego miał: Zbigniewem M. Bezpośredni sąsiad Trynkiewicza nie słyszał żadnych odgłosów dochodzących z mieszkania ani 29 lipca, ani dzień później. Zeznał milicjantom, że miał nawet wrażenie, że Mariusza nie ma w domu.

Przez cały okres od 29 lipca do chwili zatrzymania go przez milicję nie widziałem, aby ktoś go odwiedzał. Krzyków też nie słyszałem. Natomiast w dniu zatrzymania Trynkiewicza słyszałem w nocy ok. 2.30 długi dzwonek do jego drzwi. Podeszłem do swoich drzwi wejściowych i chciałem zobaczyć, kto dzwoni. Nikogo nie widziałem. Szybko podeszłem do okna, z którego widać ul. Działkową, i zobaczyłem powoli odjeżdżający samochód. Wiem, że to nie był fiat i polonez. Samochód ten był koloru jasnego brązu i był ścięty z tyłu.

Ojciec jednego z zamordowanych chłopców mówił milicjantom:

Kiedy prowadziłem poszukiwania mojego syna 3 sierpnia, około 16.00 jechałem samochodem marki Fiat 126p do Zarzęcina. Razem ze mną jechał ojciec zaginionego Tomka, moja żona i syn Adam. Ja kierowałem swoim samochodem. Zwracałem baczną uwagę na przejeżdżające samochody, ponieważ zatrzymywałem niektóre i okazywałem zdjęcia dzieci, pytając, czy nie widzieli takich chłopców. Przejeżdżając przez Prucheńsko Małe, z przeciwka zauważyłem nadjeżdżający samochód marki Wartburg, stary typ, koloru niebieskiego. Wewnątrz siedziało 6–8 osób. Wśród pasażerów były dwie dorosłe osoby: mężczyzna i kierowca. Ponadto w samochodzie były również dzieci, chłopcy. Mogło być ich czterech. Zapamiętałem rysopis tylko jednego chłopca, w wieku ok. 14–15 lat. Zwróciłem na niego uwagę, ponieważ gdy się mijaliśmy, ten chłopiec oglądał się na mnie. Przyhamowałem trochę i przyjrzałem się temu chłopcu. Po minięciu tego samochodu widziałem w lusterku, że jeszcze oglądają się za mną.

Studentka politechniki, która mieszkała w tej samej klatce co Mariusz Trynkiewicz, nigdy z nim nie rozmawiała, bo jak mówiła, „zawsze nosił spuszczoną głowę i był człowiekiem nieprzyjemnym”. Dziewczyna przygotowywała się akurat do egzaminu, gdy około 16.00 usłyszała „głośny, przeraźliwy” dziecięcy krzyk. Był 29 lipca. Ktoś krzyczał „ludzie, ratunku” lub „pomocy”. Krzyk trwał chwilę, ale był bardzo donośny. Wyjrzała przez okno. Dźwięk dobiegał od strony okien Trynkiewicza. Zauważyła na podwórku sąsiada, który zaalarmowany krzykiem podszedł do bloku i zaglądał do mieszkań przez okna.

Po półgodzinie pod blok podjechała straż pożarna. Strażacy wystawili drabinę pod jedno z okien. Dziewczyna uspokoiła się. Teraz już była pewna, że to sąsiadka wezwała pomoc, bo pewnie jej dzieci zamknęły się w pokoju. Dzieci sąsiadki były wtedy jednak na wakacjach na wsi.

Wersję z dziecięcym krzykiem potwierdziło również troje innych sąsiadów.

Janina K. zeznała 9 września:

W tej chwili nie potrafię sobie przypomnieć dokładnie daty, kiedy wspólnie ze znajomymi z mojego bloku siedziałam na ławce. Mój blok sąsiaduje z blokiem nr 8 na Działkowej w Piotrkowie. Właśnie kiedy siedzieliśmy, usłyszałam przeraźliwy krzyk dochodzący z budynku. Nie wiem, z którego konkretnie okna dochodził, ale pamiętam treść tego krzyku: „ludzie, ratunku”. Krzyk ten powtórzył się trzykrotnie. Nie był to krzyk osoby dorosłej. Nie mogę powiedzieć, czy to był krzyk jednej osoby, czy też większej grupy. W tym czasie mogła być godzina 15.00–16.00. Na ten krzyk, poza spojrzeniem na blok nr 8, nikt nie zareagował. Wiem, które okna należą do M. Trynkiewicza, i ten właśnie krzyk mógł dochodzić z tych okien.

Gospodarz domu zeznał, że zastanawiały go ozdobne złote gwoździe, które Trynkiewicz od początku czerwca wbijał w drzwi. Najpierw długo był jeden, a w chwili zatrzymania cztery. Podczas zeznań sąsiedzi byli przekonani, że każdy z wbitych gwoździ symbolizował jedną ofiarę.

Przesłuchano kilkudziesięciu sąsiadów.

Rozdział XIII

Uzupełnienie

25 sierpnia o godzinie 13.00 Mariusz Trynkiewicz postanowił złożyć „prawdziwe i szczerze wyjaśnienia”:

Po wejściu z chłopcami do mieszkania, około godziny 15.00 zdjąłem obuwie, bo zawsze tak robię. Chłopcy pozostali w swoim obuwiu. Nie okazywali uczucia strachu lub podobnej reakcji. Zapropnowałem im poczęstunek: herbata, woda sodowa, ciastka lub cukierki, lecz oni odmówili i u mnie w domu nie jedli nic ani też nie pili. W czasie pobytu oglądali akwarium, papugę w kuchni oraz grali na grze telewizyjnej. Podczas pobytu w moim mieszkaniu czuli się swobodnie i przez prawie cały czas zmieniali swoje miejsce pobytu. Z uwagi na to, że ja lubię muzykę, a chłopcy też chcieli posłuchać, włączyłem magnetofon.

Podjejrany opowiadał milicjantom, że podczas pobytu chłopców poczuł nagle „wzrost pobudzenia”. To stan, w który wpadał dość często. Zazwyczaj pomagały mu leki: sinequan lub elenium, a także relanium. Ale tego dnia przez wizytę chłopców nie wziął leków. Trynkiewicz wyszedł na chwilę do kuchni napić się wody. Chłopcy w tym czasie oglądali kolorowe prospekty reklamowe z zagranicznymi samochodami. Każdy, kto w tamtych latach był w ich posiadaniu, imponował nie tylko dzieciom, ale i dorastającej młodzieży. W siermiężnej Polsce były powiewem Zachodu. Wiercili się, co chwila zmieniali miejsca, przechodzili z fotela na krzesła; w końcu jeden z nich spojrzął na zegarek i powiedział, że muszą już wracać do domów. To nie spodobało się gospodarzowi.

Trynkiewicz zeznał:

Pamiętam, że wstaję, łapię za leżący na biurku nóż. Od momentu złapania noża i zadania pierwszego ciosu mogło upłynąć sekunda do dwóch. Było to bardzo szybko. Pamiętam, że chłopcy w ogóle na to nie zareagowali: ani wstaniem, ani odejściem. Stojąc nad nimi, znajdowałem się ze swoją ręką nad ich głowami. Zacząłem zadawać bardzo szybko ciosy z góry w ich ciała. Uderzałem z góry tak, aby tylko trafić w któregoś z nich. Uważam, że ciosów zadałem dużo, liczby nie jestem w stanie określić. Czas zadawania ciosów mógł trwać

około jednej minuty. Nie pamiętam, aby chłopcy krzyczeli.

Trynkiewicz przyznał również, że nie wywiózł zwłok w nocy kilka godzin po zabójstwie. Jeszcze 2 sierpnia nie był zdecydowany, co zrobić z ciałami. Leżały cały czas w piwnicy. Do samochodu zapakował je w nocy 3 sierpnia. Później wywiózł do lasu i spalił.

Jednak i ta wersja podejrzanego nie zgadzała się z zeznaniami sąsiadów.

Rozdział XIV

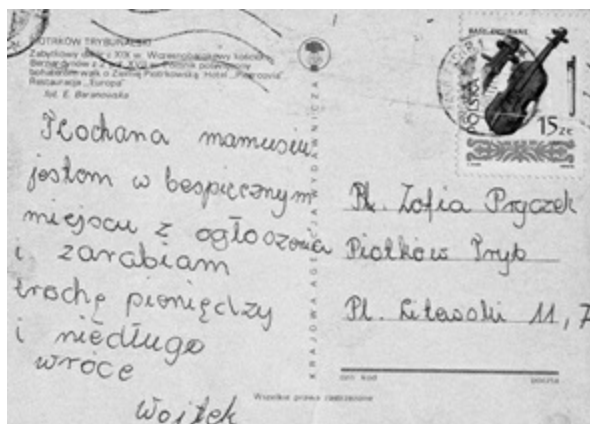
Wojtek

Miesiąc po tym, jak grzybiarz z Piotrkowa znalazł w lesie zwęglone ciała trzech chłopców, piotrkowscy śledczy podjęli nowy trop.

Na początku września 1988 roku milicjanci skojarzyli, że tuż po rozpoczęciu wakacji zaginął w mieście jeszcze jeden chłopiec. 13-letni Wojciech Pryczek 4 lipca wyszedł z domu nad jezioro Bugaj. Miał się wykapać i wrócić do domu na kolację. Nie wrócił. Scenariusz niemal identyczny jak w przypadku Tomka, Artura i Krzysia.

Matce Wojtka kilka dni później listonosz przyniósł widokówkę z Budapesztem. Na odwrocie charakterem pisma jej syna było napisane: „Kochana mamusiu jestem w bezpiecznym miejscu z ogłoszenia i zarabiam trochę pieniędzy i niedługo wrócę. Wojtek”.

Trzy dni później kobieta dostała kolejny list – tym razem anonim, a w nim kosmyk włosów Wojtka. Autor listu poinformował matkę, że jej syn wstąpił do sekty i wróci bezpiecznie do domu, gdy tylko kobieta zapłaci okup. Żądał 50 tysięcy złotych w szarej kopercie.



fol. Adam Staśkiewicz / East News

Rozdział XV

Worek z kośćmi

Pierwszego dnia po wakacjach, gdy dzieci powoli kończyły lekcje, w nagrzanym od słońca świerkowym młodniku przy trasie z Piotrkowa do Koła Mariusz Trynkiewicz oświadczył milicjantom: „To tu”, i upadł na leśną ściółkę. Przez kilkadziesiąt sekund „potwór z Piotrkowa” miał silne drgawki. Ani prokurator, ani milicjanci nie widzieli go wcześniej w takim stanie. Gdy atak minął, pomogli mu wstać i odprowadzili go do zaparkowanego w zagajniku milicyjnego samochodu. W białym polonezie skutego Trynkiewicza pilnował funkcjonariusz MO.

Gdy prokurator Małgorzata Ronc i towarzyszący jej milicjant Janusz Sielski wrócili we wskazane przez podejrzanego miejsce, zobaczyli rozkładające się ludzkie zwłoki. Ten, kto je tu zostawił, nie starał się zbyt mocno ukryć ciała – przykrył je jedynie suchymi gałęziami.

Śledczy musieli poczekać na przyjazd lekarza sądowego i reszty ekipy, która miała zabezpieczyć ślady.

Zwłoki częściowo schowane były w konopnym worku, a częściowo w brudnej, brunatnej flaneli. Worek i tkanina przewiązane były białym kablem. Obok leżało niewielkie kartonowe pudełko. Gdy milicjanci próbowali delikatnie przewrócić ciało, z worka wysypały się drobne kości.

Resztę badań przeprowadzono na tym samym stole sekcyjnym, na którym miesiąc wcześniej biegli sądowi badali zwłoki Tomka, Krzysia i Artura.

Rozdział XVI

Ofiara numer 1

W dniu dzisiejszym, po przeanalizowaniu mojej sytuacji, doszedłem do przekonania, że należy złożyć wyjaśnienia odnośnie zdarzenia, w wyniku którego został pozbawiony życia Wojciech Pryczek. Moim zdaniem było to 4 lipca 1988 r. Pieszko udałem się nad jezioro Bugaj w Piotrkowie. Była słoneczna pogoda. Mogła być godzina 16.00, może 15.00. Tam spotkałem chłopca w wieku około 12 lat, który przebywał nad kąpieliskiem. On na Bugaj przyszedł, aby się wykąpać. W czasie rozmowy dowiedziałem się od niego, że ma na imię Wojtek. Później zaproponowałem mu udział w sekcji strzeleckiej. Dodałem, że mam wiatrówkę w domu i może sobie postrzelać. Poszedłem z nim do domu. Szedłem dróżką obok stadionu Polonia. W domu byłem około godziny 16.00. Tutaj Wojtek strzelał z wiatrówki. Pamiętam, że robiłem herbatę. Rozmawiałem z Wojtkiem i powiedział mi, że jego rodzice są rozwiedzeni. Ma starszego brata w wieku około 23 lat, a może i więcej. Mówił, że bardziej lubił ojca. Chłopiec był ubrany w pulower koloru granatowego. Miał spodenki na sobie, ale koloru nie pamiętam. Na nogach miał buty: adidasy bądź trampki. Skarpetek chyba nie miał.

Trynkiewicz pamiętał, w co chłopiec był ubrany, ale nie mógł albo nie chciał sobie przypomnieć, jak go zabił. Jeszcze tego samego dnia owinał zwłoki w zielony koc w kratę, obwiązał sznurkiem i włożył do pudełka. O 22.00 poszedł po motocykl do garażu. Przyproceedził go pod klatkę schodową. Zdjął siedzenie i zaniósł do domu. Na klatce nie spotkał nikogo. Załadował pudełko ze zwłokami. Chwilę poprowadził motocykl i dopiero kilkaset metrów dalej, na ulicy Garbarskiej, odpalił silnik. Pojechał ulicami Wyzwolenia, Wierzejską, dalej na Koło. Minął strzelnicę, następnie parking. Po dwóch–trzech kilometrach skręcił w leśną drogę.

Zatrzymał się po dwustu metrach. Zdjął pudełko, wyjął zwłoki i, wciąż owinięte w koc, położył w zagajniku, w odległości około dziesięciu metrów od leśnej drogi. Pudełko wyrzucił obok. Pojechał do domu.

Noc przesiedział w fotelu.

Gdy podczas przesłuchania kapitan milicji zapytał, czy po powrocie do domu

Trynkiewicz widział ślady krwi, ten odparł, że nie. Krwi w mieszkaniu nie było, ani na meblach, ani na nożach.

Prokurator Ronc spisywała zeznania na maszynie. Na biurku stała szklanka z herbatą, a na wieszaku wisiała czerwona, modna kurtka pani prokurator.

Do pokoju przesłuchań wpadały promienie jesiennego słońca. Było południe. Ciepły wrześniowy poniedziałek.

Mariusz Trynkiewicz odpowiadał cicho i spokojnie. Nie patrzył w oczy przesłuchującym go osobom.

Milicjant dopytywał: „A czy podejrzany mógł pozbawić życia Wojciecha Pryczka?”.

Odpowiedź Trynkiewicza:

Moim zdaniem mogłem go pozbawić życia przez uduszenie. W czasie pobytu Wojtka w moim domu powiedział mi, że wakacje będzie spędzał w domu, w mieście. Spodobało mi się, że będzie ze mną. Napisał widokówkę do domu, do matki, którą ja wysłałem następnego dnia z poczty na Wyzwolenia. Potem, już po trzech dniach, z „Głosu Robotniczego” sporządziłem list do jego matki, w którym pisałem, że syn żyje, że potrzebne są pieniądze. Pamiętam, że żądałem może 5 tysięcy złotych, a może więcej. Okup miał być złożony na Wierzejach koło grzybka. Daty okupu nie pamiętam. Wysłałem ten list dla odwrócenia uwagi, że Wojtek żyje. Ja wcale nie poszedłem tam na Wierzeje.

Dzień później prokurator Małgorzata Ronc postawiła Mariuszowi Trynkiewiczowi kolejny zarzut morderstwa.

Trynkiewicz zeznawał dalej:

Wojtek siedział w fotelu, przykucnąłem koło niego tak z boku. Jeszcze rozmawialiśmy, nie pamiętam, na jaki temat. Czy przekonywałem go, aby wrócił do domu? Nie pamiętam. W pewnym momencie obiema rękami chwyciłem go za szyję i cisnąłem w okolicy jego krtani. Nie wiem, jak długo to trwało. Określam, że wówczas miałem taki stan jak paraliż, że zaciśnięte swoje ręce na jego szyi trzymałem dość długo. Oczy miał zamknięte, jak gdyby spał. Nie krzyczał ani nie wrywał się. Kiedy zdjąłem swoje ręce z jego szyi, siedział w fotelu nieruchomo. Odwróciłem się i napiłem herbaty.

Wiele miesięcy później na pytanie śledczych, w którym momencie i dlaczego włożył do ust chłopca gąbkę, odpowiedział:

Gąbka ta służyła mi do wycierania kurzu i leżała na segmencie. Najprawdopodobniej musiało być tak, że kiedy chwyciłem Wojtka obiema rękami za szyję i zacząłem go dusić, on zaczął krzyczeć. Aby ja nie słyszał tego krzyku, włożyłem mu gąbkę. Nie potrafię tego wyjaśnić. Jak wyjaśniałem we wcześniejszych zeznaniach, gąbkę tę włożyłem Wojtkowi już po uduszeniu, obtarłem mu z ust ślinę, która mu wyciekała. Wiem jednak, że lekarze w protokole z sekcji podali, że gąbka była włożona za życia chłopca. Nie potrafię się do tego teraz ustosunkować. Nie jest to żadna linia obrony, że teraz zasłaniam się niepamięcią.

Oskarżony dokładnie opisał, jak odciął chłopcu kosmyk włosów i wysłał w liście do matki jako dowód, że chłopiec żyje i jest bezpieczny.

Tego samego dnia, kilka godzin później, w tym samym pokoju zeznania składała Zofia Pryczek, matka Wojtka. Miała wówczas 47 lat. Zgarbiona siedziała na tym samym krześle, na którym chwilę wcześniej siedział oprawca jej syna.

Przed południem kolejny raz zadzwoniła na milicję, by zapytać, czy wiadomo coś o jej Wojtusi. Do tej pory słyszała, że ma się nie martwić, że po wakacjach syn wróci, na pewno uciekł. Tego dnia prowadzący sprawę milicjant poprosił jednak, by pilnie przysłała do komendy. Wiedziała, że stało się coś złego.

Dziś około 11.00 dowiedziałam się, że najprawdopodobniej znaleziono zwłoki mojego syna. Syn urodził się 17 lipca 1975 roku w Piotrkowie. Ojcem dziecka jest Mirosław K., z którym w tym czasie żyłam w konkubinacie. Mam jeszcze starszego syna, ma 26 lat. Warunki materialne miałam i mam ciężkie. W bieżącym roku Wojtusia nie planowałam wysłać na kolonie. Zresztą syn nie przejawiał zbytnej ochoty, aby jeździć. Wiedział, że kolonie są drogie, i dlatego nie był nimi zainteresowany. Jeśli chodzi o naukę, to uczył się średnio.

Jeśli chodzi o charakter syna, to moim zdaniem był dzieckiem łatwowiernym, mięczakiem, ustępliwym. Jak mu ktoś coś obiecał, to wierzył w takie słowa. [...]

Syn miał ubytki w zębach. Nie były plombowane. Chyba miał próchnicę, słabe uzębienie. Nie chodziłam z nim jednak do dentysty, nie będzie zatem śladu, jakie on miał zęby. [...]

Wtedy gdy syn poszedł na Wierzeje, pogoda była słoneczna, ciepło.

Rozdział XVII

Szkielet

Gdy Wojtuś Pryczek spotkał na swojej drodze Mariusza Trynkiewicza, miał zaledwie 13 lat. Mieszkał ze starszym o 13 lat bratem i matką w jednopokojowym mieszkaniu kwaterunkowym. Było biednie i ciasno. Matka Wojtka pracowała jako salowa w piotrkowskim szpitalu i zarabiała 20 tysięcy złotych. Wakacje chłopcy spędzali w mieście. Kolonie były zbyt drogie, by wysłać na nie Wojtka.

Wojtek był średnim uczniem, często korzystał z pomocy mamy lub brata.

Ważył 40 kilogramów. Miał ciemne włosy do szyi, przeplatane brązowymi pasemkami, wyblakłymi od słońca.

4 lipca uprosił mamę, żeby pozwoliła mu z kolegami pójść nad jezioro Bugaj. Był ciepły dzień, poniedziałek. O 15.30 Zofia Pryczek widziała syna po raz ostatni. Gdy odchodził, na ramiona miał zarzuconą niedbale bluzę z długim rękawem, na wypadek gdyby miało się ochłodzić. Miał wrócić na kolację.

Następnego dnia kobieta zgłosiła zaginięcie syna na milicję. Przyniosła ze sobą zdjęcie chłopca. Przez kolejnych kilkanaście dni nie było żadnych wieści.

Dziesięć dni po zaginięciu Wojtka Zofia dostała widokówkę. Charakter pisma zgadzał się z pismem syna. Rodzina się uspokoiła i uwierzyła, że gdy chłopiec zarobi trochę pieniędzy, to wróci do domu. Kilka dni później listonosz przyniósł list z żądaniem.

Zofia Pryczek: „Ten anonim zrobił na nas nieprzyjemne wrażenie. To było coś podejrzanego. Adres na kopercie był napisany przez syna. [...] W kopercie był kosmyk włosów i doszłam do wniosku, że faktycznie są to włosy syna”.

W porozumieniu z milicją starszy brat Wojtka zaniósł w szarej kopercie 50 tysięcy złotych w wyznaczone miejsce. Nikt jednak okupu nie odebrał.

Milicja nadal nie wiedziała, gdzie jest Wojtek.

Gdy 5 sierpnia w podpiotrkowskim lesie grzybiarz odkrył zwłoki trzech chłopców,

Zofia Pryczek miała przeczucie, że jej syn też nie żyje.

Równo miesiąc później Mariusz Trynkiewicz ze szczegółami opowiedział, jak dusił chłopca, i wskazał miejsce, gdzie ukrył zwłoki.

Podczas sekcji zwłok 12-letniego Wojtka lekarze zanotowali:

W torbie, w której znajdowała się czaszka, widoczny jest kłęb gąbki brązowobeżowej barwy, o wymiarach 15 × 8 × 6 cm. Na jednej z powierzchni gąbki widoczny jest zarys jakby odciśniętego podniebienia i odbitych na niej, odciśniętych śladów po zębach odwzorowanych w gąbce. Przemawia to, że gąbka ta była pierwotnie umieszczona w jamie ustnej.

Przy zwłokach chłopca ani milicjanci, ani lekarze nie znaleźli odzieży. Ofiara była rozebrana.

8 września na stole sekcyjnym wylądowały kości. Połamane, z larwami, owinięte m.in. w duży worek po ziemniakach, torbę foliową i szmaty. Biegli układali szkielet kawałek po kawałku. Czaszkę wyjęli z plastikowej reklamówki. Gdy rozcięli worek na wysokości brzucha, znaleźli dwa dziecięce trampki. Z kości śródstopia zdjęli szare skarpetki „frotki”. W końcu na metalowym blacie pojawił się kompletny szkielet dziecka.

Trzy dni później szkielet ten okazano matce Wojtka. Kobieta za pierwszym razem nie rozpoznała chłopca. Dopiero gdy zobaczyła buty i skarpetki, w jej oczach pojawiły się łzy. Te rzeczy sama kupiła Wojtusowi. Tylko tak mówiła o zaginionym synu:

Jeśli chodzi o obuwie, to syn, jak wychodził z domu, miał na nogach trampki. To były trampki z cholewkami, sznurowane. Chyba 6 lub 7 dziurek miały. Tkanina na trampkach była koloru granatowego. Spody białe. Pamiętam, że na jednym z trampków w jego przedniej części była rozdarta tkanina. Wyglądało jak litera L.

Po przedostaniu się do publicznej wiadomości informacji o kolejnej ofierze Trynkiewicza piotrkowską prokuraturę zaczęły zalewać listy od obywateli. Przychodziły z całej Polski. Autorzy domagali się nie tylko publicznej egzekucji mordercy, ale i tortur dla „wampira z Piotrkowa”.

Jeden z listów brzmiał: „W związku z bestialskim mordem chłopców, spaleniem ich zwłok w lesie, domagam się kary śmierci dla przestępcy przez publiczne powieszenie

go na rynku miasta, a następnie spalenie na oczach publiczności”.

Kazimierz z Wrocławia pisał: „Czytam w prasie i oglądam w telewizji różne morderstwa na tle seksualnym i na tle rabunkowym i skóra mi cierpnie na takie wiadomości. A najbardziej ohydna zbrodnia to w Piotrkowie ten nauczyciel. [...] Zwracam się do prokuratury w Piotrkowie Trybunalskim, a także Sądu Najwyższego w naszym kraju o wydanie wyroku śmierci na tego mordercę z Piotrkowa przez spalenie żywcem na stosie. [...] Czas najwyższy, żeby zastraszyć tych, którzy mają skłonności do popełniania morderstw, i wydać ustawę: głowa za głowę”.

Rozdział XVIII

Wizja lokalna

9 września rodziców zamordowanych chłopców odwiedził jeden z prowadzących sprawę milicjantów. Poinformował, że za cztery dni odbędzie się wizja lokalna z udziałem podejrzanego. Poprosił, by zachowali spokój i nikogo nie informowali o tych planach, żeby nie doszło do próby linczu ani zamieszek. Z każdej rodziny obecna mogła być tylko jedna osoba i to ona mogła zadawać pytania podejrzanemu.

13 września padał drobny deszcz i wiał przenikliwy wiatr. Było pochmurnie i chłodno. Wizja lokalna rozpoczęła się niedługo przed południem.

Po raz pierwszy Zofia Pryczek, Maria Łojek, Regina Kaczmarek i Mirosława Kawczyńska, matki zamordowanych chłopców, mogły spojrzeć prosto w oczy Mariuszowi Trynkiewiczowi. Człowiekowi, który jednego lata zmienił ich życie na zawsze. To kobiety odważyły się zmierzyć z mordercą ich dzieci.

O godzinie 10.25 milicjanci zabrali z aresztu w Piotrkowie Trynkiewicza. Białym milicyjnym polonezem przewieziono byłego nauczyciela, teraz postrach Piotrkowa, w okolicy jeziora Bugaj. W samochodzie z mordercą oprócz kierowcy i konwojenta jechała prokurator Małgorzata Ronc. Miała na sobie modną turecką kurtkę z džinsu i jak zwykle upięte w kok włosy. Pozostali uczestnicy wizji lokalnej na miejsce dojechali specjalnie wynajętym autobusem.

Jezioro otoczył kordon milicji, a drogi dojazdowe zostały zamknięte. Milicjanci z psami mieli zapewnić bezpieczeństwo „wampirowi z Piotrkowa”. I choć data wizji była objęta tajemnicą, setki mieszkańców próbowały się dostać w pobliże.

Milicyjne zasięki próbowali również pokonać dziennikarze, lecz funkcjonariusze byli czujni. Ekipa łódzkiej telewizji nie zdążyła nawet wyjąć kamery, a już została zawrócona. Zaledwie kilku fotoreporterom udało się zrobić z zdjęcia z daleka. Tylko jeden, z „Odgłosów”, zupełnym przypadkiem znalazł się tuż przy Trynkiewiczzu.



fol. Cezary Pecold / SE / East News

Czterdzieści metrów przed mostem na trasie Piotrków–Koło podejrzany Mariusz Trynkiewicz, ubrany w więzienny drelich w piaskowym kolorze z granatowymi wykończeniami, wskazał niepewnie ręką, by skrócić w prawo. Droga z betonowych płyt uczestnicy wizji jechali wzdłuż wału, nad wodą.

Po sześciuset metrach milicjant zatrzymał auto. Mariusz Trynkiewicz w obecności prokurator i innych uczestników wizji lokalnej przeszedł do miejsca, gdzie 4 lipca spotkał Wojtka Pryczka.

Prokurator poinformowała obecnych, że od tej pory wszystkie czynności będą rejestrowane na taśmie wideo za pomocą kamery Blaupunkt.

„Czy podejrzany wyraża zgodę, aby w wizji lokalnej mogli wziąć udział przedstawiciele prasy i telewizji?” – zapytała Trynkiewicza. Podejrzany zgody nie wyraził. Zaczął opowiadać:

To tutaj poznałem chłopca, który powiedział, że ma na imię Wojtek. Ja przyszedłem nad jezioro z bloku przy ulicy Działkowej. Nad jeziorem widziałem osoby wędkujące. To ja rozpocząłem rozmowę z chłopcem idącym wzdłuż jeziora po wale, od strony ulicy Wierzejskiej. Wyglądało tak, jakby szedł bez określonego celu. Zapytałem go, czy nie chciałby wziąć udziału w zawodach strzeleckich. Zainteresował się tym. Powiedziałem, że mam w domu karabinek pneumatyczny, że możemy postrzelać. Wyraził zgodę, że może iść ze mną do mojego domu.

Później Mariusz Trynkiewicz ze szczegółami opowiedział, jak z chłopcem poszli do mieszkania.

Wojtek był w spodenkach, w koszulce. Nie wiem, dlaczego nie miał na sobie bluzki, ja mu jej nie zdejmowałem. Przy pakowaniu zwłok widziałem, że z ust leciała mu ślina, włożyłem mu

gąbkę między zęby. Zwłoki owinąłem, przyniosłem pudełko z piwnicy. Do zawinięcia zwłok użyłem koca.

Ciało chłopca złamał w połowie i schował do tekturowego pudełka. Tym samym monotonnym głosem zaczął opowiadać, jak 29 lipca w tym samym miejscu poznał trzech innych chłopców, których również zamordował.

To było mniej więcej w tym miejscu, też na wale ochronnym. Wcześniej przyjechałem motocyklem marki Jawa. Widziałem, że chłopcy interesowali się wędkarzami, zatrzymałem się przy nich. To chyba ja rozpocząłem rozmowę. Chyba na temat łowienia ryb z nimi rozmawiałem, coś na temat rozwielitek. Jeszcze wtedy nie miałem zamiaru zaprosić ich do domu.

Trynkiewicz szczegółowo relacjonował, jak zaprosił dzieci do domu i jak je zamordował, a następnie jak wywiózł ciała do lasu.

Po prostu chwyciłem za nóż, który leżał zwykle na biurku, a służył do cięcia papieru. Nie pamiętam momentu zadawania ciosów. Nie słyszałem krzyków chłopców, to się wszystko działo jakby poza mną. Jakby nie było mnie w tym momencie.

Wszystkiemu przysłuchiwały się matki chłopców. Sparaliżowane rozpaczą, stały zaledwie kilka kroków od mordercy. Ojców milicjanci nie wpuścili. Bali się zemsty. Sami mężczyźni zresztą tego dnia nie ręczyli za siebie.

Tata Krzysia Kaczmarka, który przyglądał się czynnościom z daleka, pytany przez dziennikarzy, dlaczego nie podejdzie bliżej, odpowiedział: „Boję się, że go zabiję”.

Znad Bugaju wszyscy przejechali na miejsce, gdzie Trynkiewicz ukrył i spalił zwłoki. Po południu zademonstrował uczestnikom wizji lokalnej, jak wyjmował z bagażnika ciała martwych dzieci. Później udał, że je przenosi. Nie potrafił jednak odtworzyć przed śledczymi, jak je ułożył. „Naprawdę nie pamiętam, jak układałem zwłoki, ale chyba jedno obok drugich. Potem wziąłem butelkę z benzyną, polałem zwłoki i podpaliłem”.

Niepewnie pokazał, jak rzucał zapalniczki.

Gdy odpalał kolejną, matka zamordowanego Artura nie wytrzymała. Zaczęła szlochać i krzyżeć: „Powiedział pan, że zapamiętał pan biały podkoszulek. Dlaczego panu utkwiał ten podkoszulek? A to był mój syn!”. Protokolant zapisał: „Mirosława

Kawczyńska płacze”. Mariusz Trynkiewicz bez emocji, patrząc w ziemię, odpowiedział: „Po prostu ten podkoszulek zmienił kolor pod wpływem krwi i zabarwił się na czerwono. Zapamiętałem tylko, że jeden z chłopców był w takim podkoszulku, ale nie kojarzę go z postacią”.

Kobieta, płacząc, dopytywała: „Syn był najwyższy, czy krzyczeli te dzieci? Wołali ratunku?”.

Trynkiewicz, wciąż nie podnosząc wzroku, mówił dalej monotonnym głosem: „Naprawdę, gdybym pamiętał, tobym odpowiedział pani, ale to wszystko działo się poza mną. Nie pamiętam nic, nie słyszałem krzyków. Wiem, że jest to rzecz straszna, nie do naprawienia. Przepraszam rodziców, wszystkie mamy”.

Mama Krzysia Kaczmarka zapytała, co podejrzany zrobił z butami dzieci. Nie potrafił odpowiedzieć.

„A czy ty wierzysz w Boga?!” – krzyczała zrozpaczona kobieta.

„Teraz to już w nic nie wierzę”.

„A czy dzieci widziały trwogę, tę mękę jeden drugiego?”

„W momencie gdy zadawałem pierwszy cios, to nie pamiętam wyglądu twarzy, reakcji tych dzieciaków. Tak potrafię tylko wytłumaczyć”.

Kobiety szlochały. Nie potrafiły już powstrzymać łez do końca wizji lokalnej.

Przed godziną 13.00 przyjechali na miejsce, gdzie rodzina Wojtka Pryczka miała złożyć okup. Trynkiewicz kolejny raz spokojnie opowiedział, jak wysłał list z żądaniem okupu i jak nigdy po ten okup nie przyjechał.

Kolejnym punktem odtwarzanej zbrodni było mieszkanie Mariusza Trynkiewicza.

Na ułożonym w fotelu manekinie pokazał, jak udusił Wojtka. Bez emocji. Powoli. Delikatnie, jakby bał się zrobić kukle krzywdę.

Później milicjanci posadzili na krzesłach trzy manekiny, a on zademonstrował, jak uderzał w chłopców nożem.

„Po prostu wziąłem ten nóż w futerał, który nie miał żadnego zabezpieczenia i zapięcia. Jedną ręką musiałem trzymać za futerał, drugą za rękojeść”. Odtworzył ruch zdejmowania z noża pokrowca. „Futerał gdzieś rzuciłem, nie pamiętam, gdzie go później znalazłem, najprawdopodobniej na podłodze. I zrobiłem następny krok,

znalazłem się na wprost chłopców. No i zacząłem po prostu zadawać uderzenia”. Trynkiewicz, mówiąc to, stał z imitacją noża tuż przy trzech małych manekinach.

Prokurator Ronc półtonem poprosiła oskarżonego, by pokazał, jak zadawał ciosy. Gdy mężczyzna odpowiedział, że nie pamięta, prosiła dalej, łagodnym głosem, tak jak prosi się dziecko, by uderzał w przybliżeniu. „Jakbyś nie pamiętał, gdzie te ciosy zadawałeś”. Trynkiewicz powoli i niepewnie dotknął manekina siedzącego w środku. Nie przypominało to uderzenia. Nóż przyłożył do szyi imitacji chłopca. Podtrzymał przy tym manekin, co nie uszło uwadze śledczych. „Najpierw zadałeś cios chłopcu w środku, podtrzymywałeś go, tak?” Zaprzeczył i kolejny raz tego dnia powtórzył, że nie pamięta szczegółów. Ciosy, jak zeznał, zadawał na oślep i nie były one wymierzone.

Czynności te po raz kolejny przerwał szloch matki Krzysia Kaczmarka: „Dlaczego tym dzieciom zostało odebrane życie?”. Druga z matek, Mirosława Kawczyńska, wykrzyczała w tym samym czasie prosto w twarz oprawcy: „Nie chciałabym twojej śmierci, lecz by ci wydłubano oczy i ucięto język, i byś włóczęgą był, tego bym pragnęła”.



Milicjanci pouczyli kobiety, że mogą jedynie zadawać podejrzanemu pytania.

Zacząła Mirosława Kawczyńska: „Czy podejrzany wierzy w Boga?”.

Trynkiewicz odpowiedział: „Nie wierzę”.

„Czy podejrzany jest satanistą?”

„Nigdy nie należałem do satanistów. Nie byłem ich wielbicielem”.

Mama Tomka Łojka, chłopca o skórze praczki, dopytywała: „Co znaczyły u podejrzanego Trynkiewicza trzy skuwki na drzwiach? Trzy u góry, a jedna na dole pod klamką, co to znaczy?”.

„Chodzi o gwoździe tapicerskie, miałem takie gwoździe ozdobne i je wbiłem. Wcale to nie oznacza czterech ofiar. Gwoździe wbiłem tuż przed dokonaniem zabójstw trzech chłopców, a po zabójstwie Wojtka. Chyba w połowie lipca bieżącego roku. Ja nie pamiętam dokładnie, w jakim miejscu były one wbite. Trzy gwoździe chyba tworzyły trójkąt. Nie pamiętam, czy był czwarty. Nie miało to żadnego konkretnego celu”.

„A czy podejrzany w zapiskach bądź w inny sposób zaznaczył, że dokonał czterech zabójstw?” – dopytywały kobiety.

„Nie dokonywałem żadnych zapisów ani też znaków”.

„To dlaczego w anonimie było napisane, że Wojtuś należy do sekty?” – pytała mama Wojtka Pryczka.

„To chyba chodziło o wyraz »sekcja«, chyba się przejęzyczyłem. Nie wiem, nie potrafię wyjaśnić”.

Wizja lokalna zakończyła się po blisko sześciu godzinach. Po 16.00 Mariusz Trynkiewicz został odwieziony do aresztu, a matki zamordowanych chłopców wróciły do domów pogrążonych w żałobie i rozpacz.

Rozdział XIX

Obserwacja

Gdy Trynkiewicz przebywał w areszcie, jego rodzice uczyli się żyć z piętnem syna mordercy. W Piotrkowie znał ich każdy, a ludzie wytykali palcami na ulicy. 16 września, ponad miesiąc od jego zatrzymania, Urszula Trynkiewicz po raz pierwszy poprosiła prokuratora o widzenie z synem. Kobieta przygotowała paczkę z ulubionym swetrem Mariusza, bluzką, czarnym golfem, kalesonami, skarpetami, dwiema chusteczkami, podkoszulkiem. Zapakowała też kilogram pomidorów, kilogram jabłek, pół kilograma kiełbasy, pół kilograma boczku, dwa serki topione, jedno pudełko smalcu, sól, dziesięć paczek papierosów i trzy tysiące złotych w gotówce.

Trzydzieści lat później wciąż będzie wysyłała jedynakowi pieniądze i paczki z jedzeniem. Tyle że z lepszym jedzeniem.

Zgodę na widzenie z synem dostał również Władysław Trynkiewicz.

Za każdym razem rodzice prosili o widzenie przy stoliku, by mogli porozmawiać twarzą w twarz. Tłumaczyli się problemami ze słuchem i wzrokiem.

Tuż po tym pierwszym widzeniu milicja oddała ojcu klucze do mieszkania, w którym jedynak dokonał zbrodni. Po dokładnych oględzinach Władysław Trynkiewicz nie zgłosił żadnych zastrzeżeń. Śledczych poinformował, że w mieszkaniu z powrotem zamieszka jego prawowita właścicielka, babka Mariusza Trynkiewicza.

Milicja zwróciła też rodzinie oskarżonego wszystkie zabezpieczone wcześniej do badań rzeczy. Z milicyjnego magazynu Władysław Trynkiewicz odebrał: bawełniany ręcznik, pieluchy flanelowe, poszwę w zielone kwiaty, ortalionową kurtkę, koszulę wojskową, czarny sweter, torbę z teksasu z napisem „Orient Express”, białe damskie majtki, pokrowiec na nóż, sznurowany dywan, zegarek Slavia i zegarek elektroniczny na metalowej bransolecie.

Urszula Trynkiewicz urodziła syna, gdy miała 26 lat.

„To typowy jednak, tak go wychowywaliśmy” – mówiła. Otaczany troską, trochę rozpuszczony, do świata podchodził z wyższością. Wydawało jej się, że rozmawiali o wszystkim. Mariusz był oczkiem w głowie matki. Ojciec, starszy wizytator kuratorium w Piotrkowie, nie miał czasu dla syna. Dla niego życie rodzinne toczyło się trochę obok. Obowiązki wychowawcze spoczęły na barkach matki. Po latach Mariusz Trynkiewicz przyznał jednak, że zawsze mógł liczyć na pomoc taty.

Na obserwację psychiatryczną morderca trafił do szpitala aresztu śledczego w Warszawie przy ulicy Rakowieckiej.

Już w pierwszym tygodniu lekarze uznali za konieczne skierowanie go na badania sądowo-seksuologiczne.

Rodzice odwiedzali go również tam. Każde widzenie trwało nie dłużej niż trzydzieści minut.

Podczas jednego z przesłuchań Urszula Trynkiewicz zeznała, że syn jako dziecko często wstawał w nocy, a rano tego nie pamiętał. Był typem samotnika. W wieku dojrzewania często wagarował, miał kłopoty z nauką. Przy większych trudnościach mówił o zamiarze samobójstwa. Miał tendencję do używania środków uspokajających.

Obserwacja trwała blisko pół roku.

„Nie czuję się zbyt dobrze po odmie, którą wykonano mi na Oddziale Psychiatrii Sądowej w Warszawie. Odczuwam często bóle głowy i bóle skurczowe szyi, nadal utrzymuje się u mnie nerwica sytuacyjna” – mówił Trynkiewicz. „[...] Na koniec pobytu na obserwacji odbyłem z panią doktor rozmowę i ona mi powiedziała, że mam marzenia na jaźni na tle urojeń schizofrenicznych. Pani doktor pocieszała mnie, że nie będzie tak źle. Uważała, że zrobiłem błąd, nie lecząc się w czasie przerwy w odbywaniu kary”.

Trynkiewicz poprosił, by nie przewożono go z powrotem do aresztu w Piotrkowie. Mówił, że „stosunek służby więziennej do niego jest zły”.

Prokurator Ronc prośbę Trynkiewicza odrzuciła. Powrócił do starego aresztu w Piotrkowie przy ulicy Wojska Polskiego. W budynku tym mieściło się kiedyś pruskie więzienie i od XVIII wieku warunki dla więźniów nie uległy tam znacznej poprawie. W 1989 roku osadzeni spali na piętrowych pryczach, a zamiast sanitariatów i prysznic

w celach były wiadro i miska z wodą. Kącik sanitarny oddzielony był od reszty celi zasłoną lub kocem.

W reportażu młodej dziennikarki TVP Łódź Magdaleny Majewskiej z 1989 roku więzienni strażnicy chętnie mówili o najsławniejszym więźniu:

Mi się wydaje, jakby proces nie toczył się do niego, a jak do jakiejś osoby obcej. Po prostu nie przywiązuje wagi do swojego czynu, takie odnoszę wrażenie. Jeżeli chodzi o zeznania niektórych świadków, po tych zeznaniach przychodzi do pokoju zatrzymanych i jest roztrzęsiony, pali papierosa za papierosem i w ogóle nie rozmawia. Kiedy indziej znowu zupełnie jakby był obserwatorem. Nieraz próbuje nawet żartować. Mówi, że porobiłby sobie trochę ładnych zdjęć, żeby rozdawać ludziom, którzy chcą go zobaczyć. A nieraz denerwuje się, jak ktoś chce z nim zamienić słowo. Wydaje mi się, że on jest za bardzo zamknięty w sobie. Nigdy nie mówi tego, co chciałby powiedzieć. A na pewno nie do końca...

Po zakończonej obserwacji psychiatrycznej Trynkiewicz oświadczył: „Nie wiem wprawdzie, jaki jest wynik obserwacji i co orzekli lekarze o moim stanie zdrowia, ale gdyby się okazało, że jestem zdrowy, to wiem, że czeka mnie tylko kara śmierci...”.

Obserwacja na Oddziale Psychiatrii Sądowej Aresztu Śledczego Warszawa-Mokotów trwała od 23 września 1988 roku do 17 marca 1989 roku. Czterech biegłych z zakresu psychiatrii stwierdziło jednoznacznie: „Trynkiewicza cechuje egocentryzm, chłód uczuciowy w stosunkach z ludźmi, jest on nastawiony wyłącznie na zaspokajanie swoich potrzeb. Ma zawyżoną potrzebę znaczenia i poczucia własnej wartości. Nie wykazuje poszanowania dla przyjętych zasad życia społecznego”. Lekarze psychiatrzy nie stwierdzili choroby psychicznej, niedorozwoju umysłowego ani zespołu psychoorganicznego. Biegli ocenili również, że przedstawione okoliczności i relacje Trynkiewicza nie wskazują, by w chwili popełniania zbrodni miał zaburzenia o charakterze psychotycznym. Niepamięć, o której często wspominał podczas przesłuchań, była zdaniem lekarzy postawą obronną. Podejrzewali, że w ten sposób Mariusz Trynkiewicz będzie się bronił przed sądem.

„Wobec niestwierdzenia u Mariusza Trynkiewicza choroby psychicznej nie znajdujemy podstaw do przyjęcia w odniesieniu do czynów, o które jest podejrzany, że miał on zniesioną lub ograniczoną zdolność rozpoznawania czynów”.

Według specjalistów Trynkiewicza cechował wysoki iloraz inteligencji,

a sprawność poszczególnych funkcji poznawczych była wyrównana. Nie stwierdzono również u badanego objawów organicznego uszkodzenia centralnego układu nerwowego. Dane z wywiadu i obserwacji wskazywały na poważne zaburzenia osobowości i zaburzenia psychoseksualne.

Zbigniew Lew-Starowicz, który również badał Mariusza Trynkiewicza, w swojej opinii napisał: „Rozpoznaję u badanego biseksualną orientację płciową z cechami pedofilii. U badanego jest niepełna identyfikacja z rolą męską. Dominuje tłumienie i wypieranie potrzeb seksualnych, zahamowanie. W zakresie zarzucanych badanemu czynów prawdopodobny jest mord z lubieżności”.

Biegli psychiatrzy podsumowali: swój popęd seksualny wobec nieletnich badany realizuje z cechami algolagnii, czyli tendencji do sadystycznego zadawania bólu psychicznego i cielesnego. W chwili popełniania zarzucanych mu czynów Trynkiewicz w pełni rozumiał ich istotę i znaczenie. A z tego wynikało, że był zdolny stanąć przed sądem i uczestniczyć w procesie. Oskarżony i jego rodzice wiedzieli, co to oznacza dla ich syna.

5 sierpnia 1989 roku Urszula i Władysław Trynkiewiczowie napisali list do ministra sprawiedliwości. Poprosili, by ich syna skierować na dodatkowe badania. Miały one stwierdzić niepoczytalność Mariusza w chwili popełniania przestępstw.

Gdy miesiąc później dostali wezwanie na rozprawę, poprosili, jako osoby najbliższe oskarżonemu, o zwolnienie ich ze składania zeznań. Twierdzili również, że ich stan zdrowia nie pozwala na uczestnictwo w rozprawie.

Rozdział XX

Miłość

Jedyną i niespełnioną miłością Mariusza Trynkiewicza według jego rodziców była Beata, nauczycielka języka polskiego z jednej z podpiotrkowskich wsi. W późniejszych wywiadach Urszula Trynkiewicz często powtarzała, jak bardzo żałuje, że nie zgodziła się na ślub syna z koleżanką ze studiów. Po niej Mariusz już nigdy w domu nie wspominał o żadnej kobiecie.

Z zeznań Beaty:

Mariusza Trynkiewicza poznałam na studiach. Pod koniec pierwszego roku zaprzyjaźniłam się z nim. Był on raczej samotnikiem. Poza mną nie miał przyjaciół. Uważam go za człowieka skrytego i małomównego. Przez trzy lata kontynuowaliśmy naukę w systemie dziennym. Mieszkałam początkowo w akademiku, a Mariusz u rodziców. W czasie tych trzech lat nie spotykaliśmy się po zajęciach na kawie ani nie chodziliśmy do kawiarni. Mariusz nigdy nie proponował mi takiego spotkania. Po zakończeniu pierwszego roku nauki Mariusz zaproponował, abym pojechała z nim na kolonie jako wychowawca. Wszystkie formalności związane z wyjazdem załatwił Mariusz. Ja byłam wychowawcą grupy dzieci w wieku 9–11 lat, a Mariusz był kierownikiem do spraw pedagogicznych. Większość czasu spędzał ze mną i z moją grupą. Był lubiany przez dzieci, niezależnie od tego, czy byli to chłopcy, czy dziewczynki. Wielokrotnie przebywaliśmy sam na sam, gdy dzieci poszły już spać. W tym czasie słuchaliśmy muzyki i rozmawialiśmy, paląc przy tym bardzo dużo papierosów. Mariusz nigdy nie próbował mnie pocałować. Uważam, że jego zachowanie w stosunku do mnie było spowodowane nieśmiałością. Z jego zachowania wnioskowałam, że mnie lubi, ale nie miał śmiałości tego powiedzieć. Nie poruszaliśmy również spraw seksu. Na koloniach przebywaliśmy trzy tygodnie. Po przyjeździe do Piotrkowa Mariusz odwiózł mnie do domu. Uważam, że ten wspólny pobyt zacieśnił naszą znajomość, a raczej przyjaźń. W niedługim czasie po powrocie Mariusz napisał do mnie list. Nie był to list miłosny. Pisał o swojej pracy. Nasza korespondencja trwała jeszcze długo i dotyczyła głównie jego pracy i zainteresowań.

Trynkiewicz pytany podczas przesłuchań o związki z kobietami jako jedyny wymieniał właśnie ten z Beatą. Przyznał jednak, że po dłuższym czasie kobieta zerwała z nim znajomość.

Z zeznań Beaty:

Nasza korespondencja urwała się pod koniec 1986 roku. Zrezygnowałam z listów, ponieważ już mnie to znudziło i denerwowało, że nasza forma znajomości od lat pozostawała taka sama. Traktował mnie jak siostrę. Mnie to nie zadowalało, potrzebowałam czegoś bliższego. I dlatego nasza znajomość została przerwana. W 1987 roku wyszłam za mąż.

Z Mariuszem więcej się nie widziałam ani nie utrzymywaliśmy kontaktów. Również nie wiedziałam o tym, że został aresztowany. Dowiedziałam się dopiero ze środków masowego przekazu. Nie chciałam w to wierzyć. Nigdy bym nie przypuszczała, że może się dopuścić takiej zbrodni.

Sam podejrzany o jedynej miłości mówił jednak tylko raz i nie w kontekście Beaty. Kochał, tak miał napisać w notatniku, 13-letniego Artura K. W 1986 roku chłopiec chodził na kółko fotograficzne prowadzone przez 24-letniego wówczas Trynkiewicza. Wraz z nim sztuki fotografii uczyło się jeszcze dziesięciu chłopców.

Artur K.: „Mogę nawet powiedzieć, że upatrzył sobie chyba mnie, gdyż wybrał mnie prezesem kółka fotograficznego. O fakcie szczególnego zainteresowania mną powiadomił nawet mego ojca. Jak stwierdził, byłem bardzo grzeczny i układny”.

Kilka razy, gdy rodzice Trynkiewicza wyjeżdżali do sanatorium albo na działkę, zapraszał chłopca do mieszkania. Artur zostawał u nauczyciela na noc.

Trynkiewicz: „Moi rodzice nie wiedzieli o tym. Rodzice Artura wiedzieli, że syn przebywa u mnie w domu. Traktowałem go jak swojego brata. Przebywanie z nim sprawiało mi zadowolenie. Kochałem go, gdyż się nim opiekowałem. Myśli związanych z odbyciem stosunku z tym chłopcem nie miałem. Ja go inaczej traktowałem niż innych chłopców. To był mój brat. Spaliśmy każdy w innym łóżku”.

Po kilku miesiącach zażyłej znajomości rodzice chłopca kazali mu zerwać kontakty z mężczyzną. Zaczęli się niepokoić nadmiernym zainteresowaniem dorosłego nauczyciela ich niepełnoletnim synem.

Artur K. zeznawał: „W czasie pobytu w jego mieszkaniu nie pamiętam, aby Trynkiewicz starał się mnie dotykać po ciele, np. głaskać po ramieniu. Pamiętam, że wystąpił z propozycją zrobienia mi zdjęć. Zgodziłem się na to. Zdjęcia były różne, nigdy bez ubrania. Faktem jest, że mam kilka zdjęć w kimono, do których musiałem się

przebrać, lecz przebierałem się bez obecności Mariusza Trynkiewicza. Przeważnie wychodziłem do łazienki”.

Artur zerwał znajomość z nauczycielem, a Trynkiewicz poszedł do wojska. Często wspominał podczas przesłuchań, że bardzo mu chłopca brakowało.

Ćwierć wieku później 53-letni Mariusz Trynkiewicz, pacjent Krajowego Ośrodka Zapobiegania Zachowaniom Dysocjalnym, ożenił się.

Rozdział XXI

Sataniści

Na przełomie sierpnia i września 1988 roku ojciec Krzysia Kaczmarka wielokrotnie zgłaszał się na milicję. Informował funkcjonariuszy, że za śmiercią jego syna i trzech innych chłopców stoi nie tylko Mariusz Trynkiewicz, ale też grupa satanistów, do której morderca zdaniem Kaczmarka należał.

Rodzicom Krzysia po jego śmierci ktoś otrął psa. Na miejskim cmentarzu ubrany na czarno mężczyzna w towarzystwie dwóch innych osób wypytywał o groby zamordowanych chłopców. W okolicach strzelnicy, czyli tam, gdzie chłopców widziano po raz ostatni, ktoś powycinał na drzewach satanistyczne znaki. Nie wiadomo, kto wyrył na drewnianej ławce napis, że mordowane będą kolejne dzieci. Stanisław Kaczmarek był pewny, że to sprawa piotrkowskich satanistów. Milicjantom mówił, że wie, gdzie jest ich kryjówka.

Sprawdzili więc ten trop.

W lesie koło strzelnicy znaleźli satanistyczne i pacyfistyczne znaki. Nie było napisów o kolejnych mordach. Funkcjonariusze uznali, że znaki są stare, jeszcze przed zbrodni. Nie udało im się potwierdzić, że pies Kaczmarków został otruty. Sprawdzili również altanę, w której mieli się gromadzić piotrkowscy sataniści. Nie znaleźli tam nikogo – ani żadnych śladów, które mogłyby wskazywać, że miejsce było wykorzystywane do jakichkolwiek obrzędów. Co prawda mężczyzna, który rozwoził w okolicy mleko, zeznał, że faktycznie w altanie zbierali się różni ludzie, i nie wykluczał, że rozmawiali o pomordowanych dzieciach, jednak w Piotrkowie sprawa była tak głośna, że rozmawiali o niej wszyscy i wszędzie. Podobnie jak wszyscy mówili wtedy o satanistach.

Tuż po zatrzymaniu Mariusza Trynkiewicza milicjanci zabezpieczyli ślady, które zdaniem rodziców zamordowanych chłopców mogły wskazywać na zainteresowania podejrzanego okultyzmem i satanizmem.

W drzwiach Trynkiewicz zamontował dwa wizjery. Jeden z nich okleił folią, na której narysował imitację więziennych krat. Nad wszystkim górowała głowa tygrysa z otwartą paszczą, wypalona na drewnianej tabliczce.

W mieszkaniu śledczy odkryli kolejne przedmioty. W przedpokoju nad włącznikiem światła wisiała odwrócona podkowa, pomalowana nieudolnie czarną farbą. Na niej widniał napis „The Satan”. Pod poduszką na tapczanie milicjanci znaleźli dwa noże. Pierwszym był nóż chiński z trzema nacięciami na drewnianej rękojeści. Drugim – sztylet schowany w brązowym, skórzanym futerale. Na ostrzu znajdował się firmowy napis „China stainless”. Sztylet miał przymocowany sznur długości trzydziestu centymetrów.

Na kuchennej szafce milicjanci znaleźli nóż myśliwski. Na ręczce wygrawerowane były inicjały M.T.

W piwnicy należącej do Trynkiewicza milicjanci znaleźli cztery własnoręcznie wykonane pejczy z rękojeściami z drewna owiniętego bandażem, do których przymocowane były: biały kabel, pasek klinowy i miedziane linki.

Z notatki milicyjnej: „W toku śledztwa wzięto również pod uwagę możliwość współdziałania podejrzanego z grupą, sektą satanistyczną, który to wątek przewijał się w publikacjach prasowych i przypuszczeniach rodzin ofiar”.

Zabójca chłopców tłumaczył prokurator Ronc, że umieszczając symbol podkowy i napis „The Satan”, chciał się przeciwstawić wierze w Boga, którego nie uznaje. Nigdy jednak nie był związany z ludźmi o poglądach satanistycznych.

Tłumaczył również, że ułożenie zwłok w trójkąt również nie miało żadnego znaczenia symbolicznego i prawdopodobnie było przypadkowe.

Historie o satanistach w PRL-u nie były czymś wyjątkowym. Wręcz przeciwnie, pojawiały się często. Przekazywane z ust do ust, stawały się szybko miejskimi legendami. Przed wojną straszono dzieci, że zabierze je Żyd, później Żyda w masowej wyobraźni zastąpiła czarna wołga, która rzekomo krążyła po ulicach polskich miast i porywała dzieci, a w latach 80. pojawili się sataniści. W katolickim kraju kult szatana był doskonałym sposobem na wyrażenie młodzieńczego buntu i wyróżnienie się.

Miejscem, gdzie według Służby Bezpieczeństwa spotykali się polscy sataniści, miał być Jarocin. Co roku latem odbywał się tam największy festiwal muzyki rockowej w Polsce, na który ściągala młodzież z całego kraju. Funkcjonariusze SB donosili w 1986 roku o czarnych mszach odprawianych podczas festiwalu, o dwudziestoosobowej grupie satanistów, którzy na lokalnym cmentarzu mieli wykopać trumny i sprofanować ciała. Z milicyjnych notatek wynikało, że satanistami najczęściej byli młodzi, sfrustrowani uczniowie szkół średnich i zawodowych. Do popularności satanizmu w Polsce przyczyniły się młodzieżowe gazety, które ten ruch miały potępiać, a jak się okazało, go popularyzowały, oraz reportaż *Oto Ameryka*, wyemitowany w Telewizji Polskiej, w którym oprócz wrestlingu i męskich striptizerów pokazano czarną mszę.

Sataniści byli obecni w masowej wyobraźni lat 80. do tego stopnia, że mówił o nich nawet sam prymas Józef Glemp w homilii wygłoszonej na Jasnej Górze.

Rozdział XXII

Akt oskarżenia

30 maja 1989 roku, dziewięć miesięcy po zbrodni, którą żyła cała Polska, Prokuratura Rejonowa w Piotrkowie Trybunalskim wysłała do sądu akt oskarżenia przeciwko Mariuszowi Trynkiewiczowi.

Oskarżam Mariusza Trynkiewicza, syna Władysława i Urszuli, narodowości polskiej, przynależności społecznej inteligenckiej, o wykształceniu wyższym pedagogicznym, z zawodu nauczyciela, kawalera, bezdzietnego, nieposiadającego nikogo na swoim utrzymaniu, nigdzie niepracującego, pozostającego na utrzymaniu rodziców, dwukrotnie karanego na łączną karę 1 roku pozbawienia wolności w zawieszeniu jej na 2 lata oraz zakaz wykonywania zawodu nauczyciela na okres 3 lat, o to, że w dniu 4 lipca 1988 roku, działając w zamiarze pozbawienia życia 13-letniego Wojciecha Pryczka, zwabił go do siebie do mieszkania pod pretekstem zapisania do sekcji strzeleckiej i uczestnictwa w obozie wypoczynkowym, nakłonił do napisania kartki do matki, aby ta nie niepokoiła się jego nieobecnością, po czym siedzącemu w fotelu wcisnął kłęb gąbki do jamy ustnej w celu uniemożliwienia wzywania pomocy i chwytem oburącz za szyję spowodował jego gwałtowny zgon przez uduszenie, a następnie ciało ofiary owinał w koc, włożył do pudła tekturowego i wywiózł je motocyklem do lasu, gdzie je pozostawił, maskując chrustem leśnym.

Trynkiewicz został także oskarżony o to, że 29 lipca podstępem sprowadził do swojego mieszkania 12-letniego Krzysztofa Kaczmarka, 11-letniego Tomasza Łojka i 12-letniego Artura Kawczyńskiego. Krzysztofowi zadał serię ciosów nożem myśliwskim typu finka w skroń, małżowinę uszną, szyję i kark. Tomasza Łojka zaatakował tym samym nożem, powodując ranę kłutą klatki piersiowej, cztery rany opłucnej, ranę powyżej małżowiny usznej i ranę brzucha. Artura Kawczyńskiego ranił na wysokości końca mostkowego lewego obojczyka; na ciele były też widoczne dwie rany kłute na tylnej powierzchni klatki piersiowej. Ciała ofiar Trynkiewicz owinał w poszewkę, ręcznik, tkaniny bawełniane, tektury, folię, związał sznurem i zaniósł do piwnicy. W nocy z 3 na 4 sierpnia wywiózł je samochodem do lasu, oblał benzyną i podpalił.

Prokuratura zarzuciła również Trynkiewiczowi, że w ostatniej dekadzie czerwca 1988 dopuścił się wobec 13-letniego Mariusza W. czynu lubieżnego. Polecił mu się rozebrać, a następnie dotykał jego członka.

Trynkiewiczowi postawiono też zarzut kradzieży. Podczas owijania zwłok Krzysztofa Kaczmarka zabrał z jego ręki zegarek elektroniczny z niebieską tarczą i czarnym paskiem o wartości trzech tysięcy złotych.

Na rozprawę sądową wezwanie dostali: Mariusz Trynkiewicz jako oskarżony, biegły seksuolog, dwoje psychologów, czworo psychiatrów oraz dwóch biegłych, którzy przeprowadzali sekcję zwłok. Wezwani zostali także pokrzywdzeni: rodzice zamordowanych chłopców oraz Mariusz W., molestowany przez Trynkiewicza. W sądzie miało się jeszcze stawić 23 świadków.

Na potrzeby rozprawy prokuratura przygotowała ponad setkę dowodów, które miały być ujawnione w trakcie procesu.

Ze względu na ograniczone możliwości lokalowe piotrkowskiego sądu zarządono przygotowanie specjalnych kart wstępu, które rozdzielono pomiędzy rodziny zamordowanych i molestowanych chłopców oraz przedstawicieli mediów. Zainteresowanie procesem „szatana z Piotrkowa” było olbrzymie.

Początek procesu wyznaczono na wrzesień 1989 roku, tak by wszyscy wezwani mogli w nim uczestniczyć po tym, jak powrócą z urlopów.

Biegli poprosili o zapewnienie na czas procesu noclegów w hotelu Trybunalski. Dzięki temu nie musieli dojeżdżać codziennie z Łodzi i Warszawy. Wtedy był to najlepszy hotel w mieście.

O zmianę sądu listownie poprosili rodzice Mariusza Trynkiewicza:

Zwracamy się z prośbą o przeprowadzenie rozprawy sądowej naszego syna Mariusza Trynkiewicza oskarżonego o zabójstwo czterech chłopców w innym mieście i przy drzwiach zamkniętych. Rozprawa, tak jak wiemy z publikacji prasowych, ma być przeprowadzona przez Sąd Wojewódzki w Piotrkowie, w specjalnie wynajętej sali Urzędu Wojewódzkiego, ażeby mogło w niej uczestniczyć jak najwięcej osób. Chodzi bowiem o to, żeby nadać sprawie większego rozgłosu.

Tak przeprowadzona rozprawa dla nas, rodziców, jest wysoce szkodliwa i niebezpieczna. My, rodzice, jak i nasza rodzina przeżywamy nie mniejszą tragedię jak rodziny

poszkodowanych. Musimy żyć, mieszkać i pracować w Piotrkowie, innego wyjścia nie mamy. Jesteśmy schorowani, znajdujemy się u kresu wytrzymałości. Przeżywamy dodatkowo skutki szerokiej publikacji, niekiedy wręcz kłamliwych, mających na celu nastawienie społeczeństwa przeciwko nam. Jesteśmy zaczepiani na ulicy, otrzymujemy listy i telefony z pogrózkami. Jesteśmy też prześladowani przez naszych pracodawców usiłujących między innymi zwolnić nas z pracy. Jeżeli rozprawa odbędzie się w Piotrkowie przy drzwiach otwartych, może to doprowadzić do dalszych tragedii, których my możemy zostać ofiarami. Kto wówczas za to odpowie? Komu zależy na podniecaniu opinii publicznej? Czy Sąd Wojewódzki nie przewiduje następstw, jakie mogą wyniknąć?

Syna wychowaliśmy najlepiej, jak umieliśmy. Był pracowity, grzeczny, posłuszny i spokojny. Po studiach poszedł do wojska. Z wojska już nie wrócił. To, co się z nim dalej działo, było dla nas olbrzymim zaskoczeniem.

Pomimo przeprowadzonych badań rutynowych w Szpitalu Psychiatrii, gdzie przebywał na środkach uspokajających i zachowywał się normalnie, jesteśmy przeświadczeni, że nie jest zdrowy. Czyny, jakie popełnił, same świadczą, że nie był wówczas w pełni władz umysłowych. Nigdy nie był agresywny – a wręcz przeciwnie, był cichy i spokojny. Gdyby wiedział i mógł pokierować swoim postępowaniem, nigdy nie zrobiłby czegoś tak strasznego, a tym bardziej we własnym mieszkaniu.

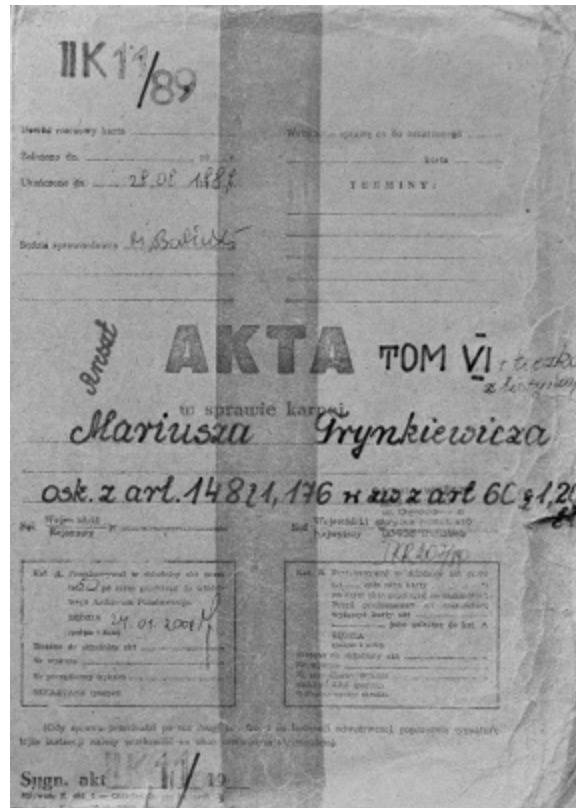
Zwracamy się również o skierowanie go do dalszych badań psychiatrycznych, w warunkach normalnych – bez stosowania środków uspokajających.

Pod listem czytelnie podpisała się matka Trynkiewicza. Jest też nieczytelny podpis ojca.

Niżej znajduje się adnotacja przewodniczącego II Wydziału Karnego: „Uznaję za zbędne udzielenie odpowiedzi”.

18 sierpnia 1989 roku, niewiele ponad rok od tragedii, wyznaczono dziewięć terminów rozpraw. Pierwsza miała się odbyć 12 września.

Początek procesu wyznaczono na godzinę 10.00 w sali numer 1 w Sądzie Wojewódzkim w Piotrkowie Trybunalskim.



fot. Cezary Pecold / SE / East News

Mariusz Trynkiewicz w oczekiwaniu na proces pisał pamiętnik. Liczył się z karą śmierci. Zanotował, że byłoby to dobre rozwiązanie. Nie wiedział, czy będzie zeznawał na sali w obecności rodziców swoich ofiar. Obawiał się, że może czekać na egzekucję ponad sto dni – tak mówili inni więźniowie.

W pamiętniku zapisał również, że może to być też kara 25 lat pozbawienia wolności. Nie wierzył jednak w resocjalizację w polskim więzieniu. „To śmierć uwolni mnie od tego życia”.

Notował, że żałuje tego, co zrobił. Nie wie, dlaczego tych słów nie ma w protokołach przesłuchań. Na pogrzeby nie chodził, do miejsca ukrycia zwłok nie jeździł.

Z zabitymi chłopcami czuł jakąś więź, choć nie wierzy w życie pozagrobowe. Wie, że nie ma duchów, i dlatego oni do niego nie przychodzą.

Pytany przez biegłych psychologów w areszcie, czy gdyby wyszedł teraz na wolność, nadal zapraszałby do siebie chłopców, odpowiadał: „Tak, na pewno tak”. Kilka tygodni później podczas procesu zeznał, że nie wie, dlaczego tak odpowiedział, i że nigdy by już nie zapraszał do siebie dzieci i ich nie krzywdził.

Pod koniec sierpnia, dwa tygodnie przed pierwszą rozprawą, Trynkiewicz napisał list do Sądu Wojewódzkiego.

W ubiegłym tygodniu podczas rozmowy z obrońcą dowiedziałem się, że sąd zamierza przeprowadzić rozprawę sądową w mojej sprawie „przy drzwiach otwartych”. W związku z tym postanowiłem wystąpić z prośbą do Wysokiego Sądu o zmianę decyzji dotyczącej metody przeprowadzenia rozpraw w mojej sprawie.

Jak ja mam składać wyjaśnienia? Czy tak trudno jest Wysokiemu Sądowi, który chce zapewne podejść do sprawy obiektywnie, wejść w moje położenie? Czy wypełniając „po brzegi” salę sądową ludźmi, nie brać pod uwagę, że wypełnia się ją moimi przeciwnikami? Nie wierzę bowiem, by ktokolwiek z obecnych na sali chciał podejść do sprawy w taki sposób, jak zamierza to Wysoki Sąd – a więc w sposób całkowicie obiektywny i bezstronny. [...] Jestem przekonany, że każdy z obecnych na sali, jeżeli nawet nie wyrazi tego słowem ani żadnym gestem, to będzie myślał: „Jak on jeszcze śmie w ogóle się odzywać? Mówić coś? Bronić się?”. Wiem i wielu z obecnych na sali będzie wiedziało, że każdy ma prawo do obrony. Ale jak tu bronić się samą prawdą (czasem wyjawiając nawet sekrety własnego „ja”)? Jak wyjaśnić czy dopowiadać chociaż krótkim „tak” lub „nie” na pytania Wysokiego Sądu w bliskiej obecności kilkudziesięciu wrogów mojej osoby, w przeważającej mierze ludzi niezainteresowanych bezpośrednio osobiście sprawą, i w przeświadczeniu, jakie mam o ich stosunku do mnie. [...] Organizowanie rozprawy „przy drzwiach otwartych” jest jedynie jeszcze jednym z utrudnień, jakie miałbym pokonać – znieść w tej tak ciężkiej psychicznie dla mnie sprawie. Myślę, że Wysoki Sąd chciał w ten sposób zabezpieczyć się, bym od razu odmówił składania wyjaśnień, bo chyba „nie jest to po myśli” Wysokiego Sądu. Nie wiem, co powodowało Wysokim Sądem, na pewno jednak nie rozładowanie napięcia opinii publicznej związanego z moją właśnie sprawą, gdyż w ten sposób można jedynie osiągnąć cel całkowicie odmienny.

Moja prośba o przeprowadzenie rozprawy „przy drzwiach zamkniętych” może być zrozumiana też w ten sposób, iż chcę być osądzony po cichu, bez rozgłosu, ponieważ wstydzę się za czyny, które popełniłem – i to jest prawda.

Pod listem, napisanym odręcznie, znajduje się zamaszty podpis Mariusza Trynkiewicza. Charakter pisma jest bardzo podobny do tego, którym posługiwał się ojciec oskarżonego.

W odpowiedzi na list przewodniczący składu sędziowskiego Marian Baliński poinformował, że decyzję o tym, czy rozprawa będzie jawna, czy nie, skład sędziowski podejmie przed rozpoczęciem przewodu.

Podczas gdy Trynkiewicz i jego rodzice prosili o utajnienie rozprawy

i przeniesienie procesu do innego miasta, mieszkańcy Piotrkowa atakowali listami i osobistymi prośbami sąd i Urząd Wojewódzki. Chcieli, by sprawa odbywała się w największej możliwej sali w mieście, a nie w małej salce w sądzie rejonowym, która mogła pomieścić ledwie pięćdziesiąt osób. W tym procesie chcieli uczestniczyć wszyscy.

12 września o godzinie 9.00 okolice sądu zabezpieczały dziesiątki milicjantów z psami. Gromadził się tłum pragnący dokonać linczu na zabójcy chłopców. Ludzie uzbrojeni w pałki, kije, butelki i kamienie chcieli za wszelką cenę wymierzyć sprawiedliwość.

Z minuty na minutę okrzyki były coraz głośniejsze, aż przerodziły się w skandowanie: „Na drzewo z nim!”, „Dajcie go nam!”.

Kobieta około pięćdziesiątki, w różowej marynarce w ciemne grochy, ze złością krzyczała: „Zabić go! Zabić!”. Wygrażała przy tym pięścią, a już po kilku sekundach dołączyło do niej kilkunastu mężczyzn. Atmosfera gęstniała. Tłum czekał „na potwora”.

Tuż przed 10.00 Mariusz Trynkiewicz w asyście milicjantów został doprowadzony na salę rozpraw. W niebieskiej koszuli i czarnych spodniach, ze spuszczoną głową wszedł do sali numer 1 na parterze piotrkowskiego sądu. Na zewnątrz, pod oknami sali, milicjanci zaparkowali niebieskie milicyjne nyski tak, by rozwścieczony tłum nie zaglądał do środka.

Na sali pojawili się dziennikarze, kamera Telewizji Polskiej i fotoreporterzy. Redaktor telewizyjny Paul Płomiński złożył wniosek o zezwolenie na filmowanie rozpoczynającego się procesu, ale pokrzywdzeni nie wyrazili zgody na publikowanie ich wizerunków w telewizji. Sąd zezwolił więc ekipie TVP na realizację reportażu z przebiegu rozprawy, ale z wyłączeniem wizerunku osób pokrzywdzonych.

O zgodę na wykonanie zdjęć z procesu prosił też fotoreporter „Tygodnika Piotrkowskiego” Janusz Dybkowski. Zgodę otrzymał.

Ława oskarżonych znajdowała się naprzeciw tej, na której zasiadali rodzice chłopców. Byli oskarżycielami posiłkowymi. Rodziny ofiar od sprawcy dzieliło zaledwie kilka metrów.

Po godzinie sędzia odczytał wniosek oskarżonego o wyłączenie jawności.

Sprzeciwiła się temu prokurator, tłumacząc, że ograniczenie jawności jest zasadne tylko, jeżeli chodzi o dobro osoby pokrzywdzonej. Pełnomocnik rodzin wnioskował, aby proces był jawny.

Ostatecznie sędzia wyłączył jawność w zakresie molestowania Mariusza W. Chłopiec i jego rodzice byli na sali. Niejawna miała być również część tak zwanych dowodów odtwarzanych. Pozostała część sprawy była jawna.

Na salę wszedł spóźniony biegły lekarz seksuolog Zbigniew Lew-Starowicz, który badał Mariusza Trynkiewicza w Warszawie.

Ojciec Krzysia Kaczmarka kolejny raz oświadczył: jest w posiadaniu dowodów, że zbrodni nie dopuścił się tylko oskarżony. Winna jest także sekta satanistów.

Sędzia odczytał akt oskarżenia. Liczył on pięćdziesiąt stron.

Trynkiewicz znał zarzuty, zapoznał się już wcześniej z odpisem aktu oskarżenia i odmówił składania wyjaśnień. Przyznał się do zarzucanych mu czynów, jednocześnie wyjaśniając:

Nie jestem i nie byłem członkiem żadnej sekty satanistycznej. Na prawym ramieniu mam wytatuowany miecz z koroną. Nie wiem, czy to znak satanistów, czy nie. Tatuaz ten został naniesiony w szkole podchorążych w Koszalinie. Nie pamiętam, kto mi ten tatuaz nanosił. Była to taka pamiątka po wojsku. Może to nie było mądre, ale tak zostało naniesione.



fot. Cezary Pecold / SE / East News

Tłumaczenia Trynkiewicza nie przekonały Stanisława Kaczmarka. Był jednym z najbardziej aktywnych w dążeniu do prawdy rodziców. Do końca życia, przez kolejnych dwadzieścia parę lat, starał się udowodnić, że Mariusz Trynkiewicz nie mordował sam.

29 lipca do mojego syna przyszedł Tomasz Łojek z chłopcem, którego nazwiska nie znałem. Syn spytał mnie, czy może iść na miasto. Wyraziłem zgodę. Syn miał przy sobie 500 zł. Gdy nasze dzieci nie wróciły, zgłosiliśmy sprawę na milicję. Z funkcjonariuszami obszukiwaliśmy okolice jeziora Bugaj. 30 lipca zgłosił się do mnie Marek L. i pojechał nad staw bugajski. Mówił, że z lewej strony obok strzelnicy kąpali się nasi chłopcy. Mówił, że było siedem osób na motocyklach i mieli kurtki z wywróconymi krzyżami. Ja nie dałem za wygraną, wziąłem zdjęcia dzieci i pokazywałem te zdjęcia innym dzieciom, które się tam kąpały. Trop zaprowadził mnie na Bronisławów [miejsowość wypoczynkowa nad Zalewem Sulejowskim]. Kapitan milicji z Łodzi mówił, że widział tych chłopców w towarzystwie wysokiego mężczyzny w kapeluszu. Powiedział, że jak coś będzie wiedział, to da znać. Pytałem też młodych osób, czy chłopcy tam byli. Mówili, że byli i udali się w stronę Mokrych [wieś Mokre nad Zalewem Sulejowskim]. Przed Mokrymi spotkałem staruszkę, która mówiła, że jakbym był 15 minut wcześniej, tobym ich spotkał.

Stanisław Kaczmarek na sali sądowej opowiadał o spotkaniu z tą kobietą. Wspominała, że jeden z chłopców był zamordowany i pytał, w którą stronę ta droga prowadzi. Ojciec Krzysia Kaczmarka z kolegą odwiedzili też leśniczego w Mokrych. Ten również ich widział. Kolejny trop prowadził do Zarzęcina, wsi nad zalewem, gdzie znajdowała się stacja harcerska. Tam widziano dzieci w towarzystwie trzech lub czterech mężczyzn. Kaczmarek usłyszał także o człowieku w słomkowym kapeluszu, który miał przy sobie toporek i bagnet. Podobno udał się razem z chłopcami do Sulejowa. Słyszając to, Kaczmarek zadzwonił po milicję. Razem z funkcjonariuszami przyczał się w zniszczonej stodole. Czekali na powrót chłopców i mężczyzny. Inny funkcjonariusz ze starszym synem Kaczmarka poszli w okolice harcówki. Ojciec zamordowanego opowiadał: „Jak jeszcze byli funkcjonariusze, przed godziną 22.00, to słyszeliśmy krzyki: o, są, są, uciekajcie. Te motorówki pojechały w stronę Mokrych na drugą stronę”.

Stanisław Kaczmarek mówił długo. Ze szczegółami opisywał poszukiwania dzieci i podejrzaną grupę mężczyzn, których wówczas spotykał.

Podsumował: „Moim zdaniem te nasze dzieci nie zostały zamordowane przez jednego osobnika, ale przez szajkę grasujących satanistów”.

Sędzia zarządził pierwszą przerwę. Milicjanci wyprowadzili z sali Trynkiewicza. Ktoś rzucił w niego butelką. Dostał w plecy. Poprosił o odroczenie rozprawy – był wyraźnie zdenerwowany i przestraszony. Sędzia oddalił wniosek i po piętnastu minutach proces toczył się dalej. Przed budynkiem wciąż stało kilkadziesiąt osób. Żądali wydania w ich ręce „bestii”.

Trynkiewicz kolejny raz zeznał, że dzieci zabił sam, nikt mu nie pomógł. Nie zna motywów swojej zbrodni.

Następna rozprawa odbyła się 18 września.

O godzinie 10.00 skład sędziowski rozpatrzył prośbę matki oskarżonego, która poprosiła o zwolnienie ze składania zeznań. Sąd wyraził zgodę. Nie musiała stawać oko w oko z rodzicami ofiar.

Zeznawał za to świadek Edward Ś. – ten sam, który rok wcześniej znalazł w lesie

spalone ciała chłopców.

[...] 4 sierpnia ubiegłego roku około 14.30 wracałem z grzybobrania. W pewnym momencie zauważyłem dym, wyglądało tak, jakby paliły się okrągłaki drewniane ustawione w taki „koziołek”. Skojarzyłem ten dym i to ułożone drzewo z pracą pilarza leśnego, który 800 metrów dalej dokonywał wycinki. Zbliżyłem się do tego miejsca na jakieś 8 metrów, chciałem dokładnie sprawdzić, co to takiego. Gdy doszedłem bliżej, usłyszałem rozmowę. Cały czas stałem w tej odległości. I ten głos słyhać było zza drzewa. Myślałem, że to jakieś dzieci się bawią, miejscami widać było takie strzelające płomyki. Zza dębiny dochodził głos, który był niezrozumiały, określiłbym go jako jakiś bełkot. Słów żadnych nie można było zrozumieć. Słyhać było tylko jeden głos. Podejrzewam, że ten ktoś mnie obserwował. Mnie i moje zachowanie. Nie próbowałem podjąć rozmowy z tym głosem. Głos słyzałem około pół minuty. Początkowo nie bałem się, nie wiedziałem, co to jest. Wróciłem do domu rowerem. [...] 5 sierpnia pojechałem ponownie na grzyby. Gdy już wracałem, to specjalnie pojechałem tą drogą, przy której widziałem palące się drzewo. Doszedłem do tego miejsca, postawiłem rower pod dębem, doszedłem tam, gdzie palił się ogień, i zacząłem się przyglądać. Stwierdziłem, że są tam zwłoki. Dzieci ułożone były w trójkąt, z tym że ciała nie łączyły się ze sobą. Widziałem kawałek nóżki i spalone ciało [...] Pierwszego dnia, gdy byłem na miejscu, odniosłem wrażenie, że te zwłoki ułożone były w stożek. Natomiast drugiego były rozsunięte. Odnoszę wrażenie, że ten głos, o którym mówiłem, wydawał człowieka. Ja kojarzę, że tam była jakaś osoba. [...]

Chciałbym w tym miejscu powiedzieć coś, czego nie mówiłem wcześniej. Dlatego, że na milicji mnie bili. Do lasu wzięli i powiedzieli mi, żeby wybrał sobie sosnę, kazali mi się rozebrać. Milicjant straszył mnie, że mnie zabije. Pobito mnie dlatego, że sugerowano, że to ja zabiłem tych chłopców.

Drugiego dnia procesu zeznawał 13-letni chłopiec, który widział 29 lipca kąpiących się Krzysia, Tomka i Artura. Nie było z nimi wtedy nikogo dorosłego.

Po nim wyjaśnienia złożył kierowca miejskiego autobusu, który feralnego dnia wiozł trzech ciekawskich chłopców w stronę jeziora Bugaj.

Kolejna była sąsiadka Mariusza Trynkiewicza, która opowiedziała, jak letniej nocy widziała przez okno oskarżonego stojącego przed blokiem, nerwowo palącego

papierosy. Widziała też, jak mocował do bagażnika motocykla jakiś pakunek. Prostokątna paczka owinięta była szarym papierem. Kolejnej nocy kobietę obudził rumor na klatce. Była przekonana, że jakiś pijany lokator spadł ze schodów. Wyrzała przez wizjer i zobaczyła Trynkiewicza ciągnącego po schodach duży pakunek.

Emocje wzrosły, gdy głos mieli zabrać rodzice.

Regina Kaczmarek, matka zamordowanego Krzysia, poprosiła o pozwolenie na zeznawanie z ławy oskarżycieli posiłkowych. Nie chciała stać zbyt blisko oskarżonego. Po chwili jednak zmieniła zdanie i odmówiła składania zeznań. Nie czuła się na siłach. Płakała.

Do lipcowych dni nie miała także siły kolejny raz wracać matka Tomka Łojka. I rodzice Artura Kawczyńskiego. Sędzia odczytał ich wcześniejsze zeznania.

Drugi dzień procesu dobiegł końca.

Trzeciego dnia sąsiedzi opowiadali, jak 29 lipca 1988 roku słyszeli przeraźliwy krzyk „ratunku”.

Następnie sędzia odczytał wcześniejsze zeznania Urszuli Trynkiewicz:

Czy mogli to zrobić sataniści, to nie wiem, ale mi się wydaje, że jedna osoba nie mogła tego zrobić. Ja jestem laborantka, pobieram krew. I wiem, że źle wprowadzona igła do żyły powoduje, że ta krew wypływa, a to była rzecz straszna, myśmy po dwóch miesiącach nie mogli wejść do tego mieszkania. A tam nie było żadnych śladów krwi, na podłodze był jasny dywan, ściany były czyste, dywan też. Moim zdaniem brak większych śladów krwi w mieszkaniu świadczy o tym, że syn nie mógł tego sam zrobić. Jestem przekonana, że syn jest chory, nie pamięta tego, co się stało. Syn nie jest herkulesem. Gdyby troje dzieci się na niego rzuciło, to wszyscy byliby pokaleczeni. Moim zdaniem to syn się czegoś bał, bo po co te zamki, po co te noże? Syn bardzo lubił zwierzęta i dzieci, dzieci do niego lgnęły, a tu nagle taka tragedia. [...] O tym, że syn się bał, nabrałam przekonania po tym, że nosił przy sobie noże, pozakładał zamki, syn przecież ćwiczył karate. [...] Ja nigdy nie widziałam, żeby syn jechał samochodem. Moim zdaniem nie umiał jeździć samochodem.

Jako ostatni tego dnia zeznawał Mariusz W., nastolatek, którego Trynkiewicz molestował. Był zdenerwowany. Dziennikarze i osoby postronne musiały opuścić salę. Chłopak szczegółowo opowiadał, jak mężczyzna prosił go, żeby się rozebrał do naga, jak zakładał mu na oczy opaskę, obwiązywał wokół jego ciała skórzany pasek i dotykał

jego członka, głaszcząc go przy tym po plecach.

Po tych zeznaniach sędzia zarządził przerwę do następnego dnia.

W kolejnych terminach zeznawali biegli. Ci, którzy badali zwłoki chłopców, oraz ci, którzy w areszcie badali Mariusza Trynkiewicza.

Biegły Edmund Orszański, lekarz, który przeprowadzał sekcje zwłok, oświadczył:

Żadna ze stwierdzonych u chłopców ran nie była tego rodzaju, która by natychmiast spowodowała śmierć. W szczególności nie było żadnej rany, która by drażyła do serca. Stąd mogę wnosić, że pomoc lekarska uratowałaby życie każdemu z nich.

Dodał, że chłopcy od czasu zadania im ran mogli żyć jeszcze nawet kilkadziesiąt minut.

Kiedy rodzice zaczęli płakać, Mariusz Trynkiewicz patrzył w podłogę.

Kolejni lekarze i eksperci sądowi zeznawali, że chłopcy w czasie ataku musieli zmieniać pozycje. Prawdopodobnie bronili się albo próbowali uciec. Wskazywały na to rany zadawane pod różnym kątem i o różnej głębokości. Edmund Orszański mówił:

Jest to jedyny w mojej praktyce przypadek, ażeby trzy osoby doznały jednocześnie tak wielu obrażeń zadawanych mniej więcej w podobny sposób. Chłopcy musieli podjąć akcję obronną. Zadawanie ciosów musiało trwać co najmniej kilka minut. [...] U jednego z chłopców brak było wątroby, niewykluczone, że ta część ciała została albo spalona, albo wypadła.

Sędzia pokazał oskarżonemu dwa noże. Ten potwierdził, że właśnie nimi zadawał ciosy.

Biegli przez cały dzień podważali wersję oskarżonego, który twierdził, że chłopcy we trzech siedzieli na dwóch krzesłach, a on uderzał w nich nożem z góry. Według Trynkiewicza w końcu stracili przytomność i osunęli się na ziemię. Biegli z przekonaniem graniczącym z pewnością twierdzili, że dzieci walczyły i uciekały. Nie mieli też wątpliwości, że z tak licznych ran krew pod naporem ciśnienia „bryzgała dokoła”.

Mariusz Trynkiewicz wstał i poprosił o głos. Tłumaczył, że krew była głównie na podłodze i zmył ją kilka godzin po zabójstwie. Podkreślił kolejny raz, że sam zabił chłopców i nikt mu w tej zbrodni nie pomógł.

Sędzia wyznaczył kolejny termin rozprawy. Nadszedł czas na zeznania biegłych psychiatrów, seksuologów i znajomych Trynkiewicza.

Profesor Lew-Starowicz podkreślał, że oskarżonego nie można wyleczyć. Można natomiast poprzez podawanie specjalnego leku, androcuru, zahamować jego popęd płciowy. Oskarżony jednak musiałby przyjmować ten lek do końca życia, a jedno opakowanie kosztowało 40 dolarów. Poza tym lek był niedostępny w Polsce.

Ten dzień procesu biegli podsumowali zgodnie: „Oskarżony Mariusz Trynkiewicz jest osobą poczytalną i w pełni zdawał sobie sprawę ze swoich czynów”.

Na koniec sędzia odczytał szkolne opinie o chłopcach.

Koleżeńscy, mili, dobrzy uczniowie, rodzice zainteresowani postępami w szkole. W każdej opinii o każdym z chłopców pojawia się ocena ich sprawności fizycznej: „bardzo sprawny fizycznie”.

29 września sędzia Marian Baliński zamknął przewód sądowy. Oskarżyciel i obrońca ogłosili mowy końcowe. Kilka godzin później sędzia odczytał wyrok w imieniu Polskiej Rzeczypospolitej Ludowej:

Oskarżonego Mariusza Trynkiewicza uznaje za winnego dokonania czynów zarzucanych mu aktem oskarżenia i skazuje za czyny opisane w zarzutach I, II, III, IV na karę śmierci i pozbawienie praw publicznych na zawsze.

Za czyn opisany w zarzucie V na karę dwóch lat pozbawienia wolności oraz karę dodatkową zakazu wykonywania zawodu nauczyciela na okres lat 10.

Za czyn opisany w zarzucie VI na karę jednego roku i 6 miesięcy pozbawienia wolności i 80 tysięcy złotych grzywny.

Za zbiegające się przestępstwa, w miejsce wszystkich wymienionych kar, orzeka w stosunku do Mariusza Trynkiewicza karę łączną w postaci kary śmierci z pozbawieniem praw publicznych na zawsze.

Rozdział XXIII

Amnestia

Trzy miesiące po tym, jak Mariusz Trynkiewicz usłyszał wyrok, w nowych politycznych okolicznościach w Polsce ogłoszono pierwszą amnestię. Po podpisaniu porozumienia Okrągłego Stołu umorzono postępowania sądowe i darowano wyroki uznanym za winnych przestępstw politycznych w okresie od 31 sierpnia 1980 roku do 23 maja 1989 roku. Chodziło o to, by mogli oni uczestniczyć w przemianach ustrojowych.

7 grudnia 1989 Sejm PRL ogłosił także drugą amnestię. Jednym z jej postanowień była zamiana wyroków kary śmierci na 25 lat pozbawienia wolności.

To oznaczało, że skazany kilka tygodni wcześniej za zabójstwo czterech chłopców Mariusz Trynkiewicz będzie mógł wyjść na wolność w 2014 roku. Dla polityków, którzy amnestie wprowadzali, 2014 rok był jednak odległy o wieki. Uchwalane ustawy miały być wtedy znakiem niepodległości.

Ponieważ kodeks karny nie przewidywał wówczas kary dożywocia, planowano, że do czasu zmiany prawa po prostu nie będą wykonywane wyroki śmierci.

Pierwotnie amnestia miała nie obejmować osób odbywających karę za morderstwo czy gwałt. Na twórców ustawy wywierano jednak coraz większą presję. Więźniowie, strażnicy więzienni i media zaczęli naciskać na senatorów pracujących w komisjach Praw Człowieka i Praw Ustawodawczych, żeby amnestią objęli wszystkich więźniów. Argumentowano, że w poprzednim ustroju wyroki często były niesprawiedliwe, zbyt wysokie. W tym czasie doszło do najbardziej spektakularnych buntów za więziennymi murami. Osadzeni wiąźali duże nadzieje z ówczesnym przełomem politycznym, licząc na spełnienie obietnicy przez zwycięską „Solidarność”. W atmosferze powszechnej euforii faktyczną kontrolę nad wieloma zakładami karnymi przejmowali skazańcy. Organizowali komitety złożone z recydywistów, którzy do dziś zajmują szczególne miejsce w więziennej hierarchii. Osadzani lekceważyli polecenia strażników, nie

pracowali, a nawet pędzili w celach bimber.

I choć wielu senatorów się z tym nie zgadzało, podczas obrad plenarnych górę wzięły emocje i przekonanie, że kara 25 lat pozbawienia wolności jest dostatecznie długa i dotkliwa. Na senackich korytarzach mówiono po prostu, że większość więźniów nie dożyje jej końca.

Wielu senatorów uznało ponadto, że kara śmierci obowiązkowo musi zostać zniesiona, bo poglądy religijne niektórych z nich nakazują im ochronę życia ludzkiego. Senat, a następnie Sejm mimo wielu kontrowersji przyjęły ustawę.

Gdy 7 grudnia 1989 roku spiker odczytał w *Teleexpressie*, że amnestia nie obejmie recydywistów, w więzieniu w Czarnem osadzeni podpalili materace, krzesła i łóżka. Naczelnik zakładu podjął decyzję o wycofaniu funkcjonariuszy z obiektu, a osadzeni zaczęli szturmować bramę więzienia. Nie pomogły nawet strzały ostrzegawcze. 9 grudnia do szturm i pacyfikacji przystąpiło kilkuset milicjantów i funkcjonariuszy służby więziennej. Bunt rozprzestrzeniły się również na inne ośrodki.

Dwadzieścia pięć lat później, gdy cała Polska wstrzymała oddech, bo Mariusz Trynkiewicz miał wyjść na wolność, Stefan Niesiołowski udzielił wywiadu w radiu TOK FM. Był jednym z senatorów przeciwnych ustawie o amnestii. Teraz tłumaczył się: „Bardzo żałuję. To był błąd. I ja też za to odpowiadam. Przepraszam. Każdy myślał, że w ciągu dwudziestu pięciu lat to on zdechnie w tym więzieniu”.

5 kwietnia 2018

Późne popołudnie, leje deszcz. Po tygodniach korespondencji jadę na spotkanie z policjantem, który w 2014 miał zabezpieczać Piotrków Trybunalski, rodzinne miasto Mariusza Trynkiewicza, na czas jego wyjścia z więzienia. Policjant, który od tamtej pory awansował na komendanta w jednym z miast w Polsce, chce pozostać anonimowy.

Kiedy się dowiedziałeś, że będziesz pracował przy Trynkiewiczu?

Przygotowywaliśmy się na to od dwóch lat. Wiedzieliśmy, że przyjdzie ten dzień. Mariusz Trynkiewicz skończy odbywać karę 25 lat pozbawienia wolności, prawdopodobnie wyjdzie na wolność. Od dłuższego czasu robiliśmy bardzo dokładne rozpoznanie.

Co to znaczy?

Zbieraliśmy informacje o potencjalnych zagrożeniach dla niego, z jego strony, dla rodziny, ze strony rodzin zamordowanych chłopców, ze strony mieszkańców Piotrkowa. Monitorowaliśmy też pod tym kątem internet. Wszystko, co mogło łączyć Piotrków z Trynkiewiczem.

Łączyło sporo – potworna zbrodnia. Ale co się mogło wydarzyć ćwierć wieku później?

Wszystko. Mógł być atak na niego, ale też i on mógł zaatakować. Potencjalne zagrożenia były wszędzie. Ludzie sami się nakręcali.

W 2014 roku sprawa Trynkiewicza wróciła ze zdwojoną siłą. Teraz były już dwa pokolenia, które znały sprawę. Ci, którzy w 1988 roku mieli po 30–40 lat i ją pamiętali, a teraz także ich dzieci. Poza tym media huczały o „bestii z Piotrkowa”. Znacznie bardziej niż w latach 80. Internet, telewizja, radio, gazety. Wszyscy się prześcigali w wiadomościach na temat Trynkiewicza. Wiele z nich było wyssanych z palca, ale to sprawiło, że był tematem numer jeden. Jego nazwisko w Polsce znał chyba każdy.

A były wtedy jakieś realne zagrożenia? Ktoś groził jemu albo jego matce?

Gdybyś w 2014 roku przepytala mieszkańców Piotrkowa, co by zrobili

z Trynkiewiczem, to niemal każdy by ci odpowiedział, że by go zabił. Taka była wtedy w mieście atmosfera. Podgrzewana zresztą przez dziennikarzy, którzy koczowali tu tygodniami. Rozstawili się przed blokiem, w którym mieszkał Trynkiewicz, oraz przed blokiem jego matki. To był prawdziwy armagedon.

Ale czy ci odgrażający się mieszkańcy byli realnym zagrożeniem?

Nie. Największym byli ludzie, o których my nie wiedzieliśmy. Taka ciemna liczba. Ci, którzy się nigdzie nie ujawniali: ani w prasie, ani w mediach, ani w internecie. Którzy publicznie się nie odgrażali. Ich baliśmy się najbardziej.

A rodziny zamordowanych chłopców?

Od dawna się im przyglądaliśmy. Rodzicom, którzy wtedy jeszcze żyli, ale też rodzeństwu, kuzynom, dalszej rodzinie. Sprawdzaliśmy też chłopców, dziś dorosłych mężczyzn, których Trynkiewicz w tamtych latach molestował.

A czy oni o tym sprawdzaniu wiedzieli?

Nie. To były działania typowo operacyjne. Oczywiście mogli się domyślać.

Ilu policjantów w Piotrkowie pracowało przy wyjściu Trynkiewicza?

To nie była jakaś duża grupa – specjalny zespół, który zajmował się wtedy tylko tym tematem. Chodziło o to, żeby nic złego nie wydarzyło się w mieście, gdy Trynkiewicz wyjdzie na wolność. Nikomu. Żeby było bezpiecznie. A do tego musieliśmy działać tak, żeby nie naruszyć jego prawa do wolności. Przecież on wychodził z więzienia jako wolny człowiek, który odbył już swoją karę.

Mieliśmy bardzo dużo materiałów z rozpoznania, byliśmy dobrze na to przygotowani.

A jakie mogło być zagrożenie dla rodziny Mariusza Trynkiewicza?

Tu chodziło o bezpieczeństwo jego matki. Ojciec Trynkiewicza już nie żył. Matka była jedyną bliską mu osobą.

Kiedy poznałeś Urszulę Trynkiewicz?

Długo przed jego wyjściem.

I co się mogło jej przytrafić?

Baliśmy się ataków, głównie słownych, na panią Urszulę. Szykan. Trudno było przewidzieć, jakie będą reakcje ludzi, których media non stop faszerowały

informacjami o Trynkiewiczu.

Ci, którzy znali panią Urszulę od dawna, czyli jej sąsiedzi, koleżanki, sprzedawczynie z osiedlowego sklepiku, nie identyfikowali jej ze zbrodniami syna. Ci ludzie bardziej jej współczuli. Pomagali jej. Ale trudno było przewidzieć reakcje obcych.

Naszą rolą było dopilnować, żeby mogła spokojnie wyjść na zakupy, pójść do lekarza, po żwirek dla kota albo spokojnie załatwić formalności, które wymagały podania nazwiska. A to wtedy było bardzo gorące i medialne nazwisko.

I wy za nią wtedy wszystko załatwialiście?

Nie, załatwiała wszystko sama, a my po prostu byliśmy blisko.

Jak żyła z piętnem matki „bestii”?

Oddalała to od siebie. Zawsze powtarzała, że nie wychowała go na mordercę dzieci. Mówiła, że jest chory, że to gdzieś mogło zostać w genach po rodzinie ze strony męża. Tam były jakieś schorzenia psychiczne.

Żyła w dwóch światach: jeden to świat matki Trynkiewicza, potwornej zbrodni, a drugi to ten, w którym się całkowicie od tego odcinała i w którym była zwyczajną starszą panią. Uwielbiała swoją działkę, kota, ciągle mu coś kupowała. A to jakiś nowy żwirek, a to jakiś nowy przysmak. Żyła tym kotem. W tym drugim świecie miała dużo koleżanek, chodziła z nimi na jakieś wystawy.

A o Trynkiewiczu mówiła tak, jak matka mówi o synu?

Unikała tego tematu. Gdy przechodziliśmy do sedna, widać było, że olbrzymie wrażenie robiły na niej słowa „morderca” i „pedofil”. Natychmiast uciniała temat. Widać było, że nie chciała do tego wracać.

Opowiadała wam, jak funkcjonowała przez ostatnie 30 lat?

Tak. Na początku z mężem nie mogli uwierzyć, że ich dziecko jest mordercą. Mówiła, że to był bardzo mądry człowiek, inteligentny, pisał wiersze, malował. Powtarzała wiele razy, że miał perspektywy. Dopiero po długim czasie dotarło do nich, że ich syn zamordował czterech małych chłopców.

A jak im się żyło w Piotrkowie zaraz po tych zbrodniach?

Bardzo ciężko. Zmieniali miejsca zamieszkania.

Ludzie im grozili?

Zawsze powtarzała, że była otoczona koleżankami, przyjaciółmi, którzy jej współczuli. Ludzie z najbliższego otoczenia okazywali jej wsparcie.

Jaka to kobieta?

Normalna, bardzo życiowa. Pomimo osiemdziesiątki bardzo żywotna, można z nią było normalnie porozmawiać. Z czasem, gdy się lepiej poznaliśmy, bo wtedy spędzaliśmy razem naprawdę dużo czasu, okazała się bardzo ciepła, otwarta.

Na początku patrzyliśmy na nią przez pryzmat Mariusza Trynkiewicza, ale to był tylko moment. Później staraliśmy się zrozumieć, jak można żyć z takim piętnem samemu, bo ona praktycznie nie miała rodziny. Tylko jego.

Czyli ty wtedy byłeś z nią wszędzie, byłeś jakby jej ochroną?

Tak. Chroniliśmy ją również przed dziennikarzami. To też było wyzwanie.

Zupełnie się od nich odcinała. A ci próbowali się do niej dostać za wszelką cenę. Jeden próbował wręcz siłą. Pamiętam, jak zapukał do drzwi, przedstawił się jako ktoś inny, nie powiedział, że jest dziennikarzem, pani Urszula te drzwi otworzyła. Chciał wejść do mieszkania. Zablokował drzwi nogą, tak że nie mogła ich zamknąć. Interweniowaliśmy. Była bardzo zmęczona dziennikarzami. W pewnym momencie wszędzie zaczęła szukać podstępów. Kiedy na klatce zgasło światło, bo woźny wymieniał żarówkę, to pani Urszula była pewna, że to jakiś dziennikarz. Przyszedł hydraulik – to samo. Była bardzo czujna.

Czatowali przed klatką, pod sklepem. A ona wychodziła na zakupy tak ubrana, żeby nie było widać twarzy. Cały czas się za siebie oglądała. Prosiła nas wtedy o pomoc. Chroniliśmy ją.

Raz udzieliła długiego wywiadu jednej telewizji, ale później bardzo tego żałowała i po tym całkowicie zamknęła się na media. Tak jej zresztą zostało do tej pory.

Oglądała telewizję? Sprawdzała, co piszą o jej synu, o niej, w internecie?

Tak. Całkiem sprawnie korzystała z internetu. Ale od pewnego momentu nie włączała już telewizora. Wszędzie tylko Trynkiewicz i Trynkiewicz. Pamiętam, że mówił prezydent, premier, politycy, psychologowie, zwykli ludzie, wszyscy mówili. Później koleżanki zaczęły przynosić jej gazety. A w tych gazetach jego zdjęcia. Bała

się tego momentu, kiedy on wyjdzie na wolność. Bała się o niego.

Przecież nie przyjechałby do Piotrkowa...

Wiedzieliśmy na pewno, że będzie chciał się spotkać z matką, ale niekoniecznie w Piotrkowie.

A ona chciała się z nim spotkać?

Nie do końca. Mieli kontakt telefoniczny, listowny i jej to wystarczało. Wszystko, co pani Urszula chciała wiedzieć o synu, i tak wiedziała. Ja mam wrażenie, że dopóki syn jest izolowany, ona jest spokojna, że jemu się nic nie stanie. Gdy miał wyjść na wolność, była przestraszona.

Odwiedzała go w więzieniu?

Kilka lat wcześniej podupadła na zdrowiu i przez ten czas nie jeździła do niego. Przez kilka lat nie widzieli się na żywo.

A z jego strony czego się najbardziej baliście? Że może zaatakować kolejny raz?

Bardziej szukałem zagrożenia dla niego. Gdyby wyszedł, byłby wolnym obywatelem. Nie wiem, czy mógłby popełnić kolejną zbrodnię. To raczej pytanie do lekarzy. Psychologowie i seksuolodzy twierdzili, że był zdolny zaatakować znowu, ale ja nie miałem takiego przeświadczenia.

No i wreszcie nadszedł ten dzień. Mariusz Trynkiewicz wychodzi na wolność, bo tak zwana ustawa o bestiach jeszcze nie jest gotowa...

Byliśmy na to przygotowani.

A on?

Wbrew temu, co mówili dziennikarze, świetnie się orientował we współczesnym świecie. Musiał się długo przygotowywać do wyjścia na zewnątrz. Doskonale orientował się w pieniądzu, w technice, komunikacji – XXI wiek nie był dla niego zaskoczeniem.

Wierzył, że będzie wolnym człowiekiem?

Tak. Chciał przecież zmienić nazwisko. Na pewno planował życie na wolności.

Wyszedł – i co?

Od pierwszej minuty wolności do ostatniej był pod ciągłą „opieką”

funkcjonariuszy. Zastosowano przy nim procedury takie jak przy świadku koronnym. Miał wynajęte mieszkanie.

A co się działo w tym czasie w Piotrkowie?

Totalne wariactwo. Wszyscy go wszędzie widzieli. Dosłownie wszędzie. W sklepie, na ulicy, pod szkołą. Media to nakręcały, robiły z igły widły. Dziennikarze wtedy zrobili bardzo złą robotę. Ludzie zaczęli wierzyć, że on gdzieś tu jest. Wmawiali nam, że na pewno go widzieli.

A był?

Nie w Piotrkowie. To by było zbyt niebezpieczne. On sam nie chciał tu przyjeżdżać. Nie możemy mówić o tym, gdzie był.

Spotkał się z matką?

Niech to pozostanie w sferze domysłów. Jeszcze za wcześnie, żeby o tym mówić.

Kiedy zainteresowanie Mariuszem Trynkiewiczem osłabło?

Gdy został umieszczony w Gostyninie.

Matce ulżyło?

Tak. Bardzo. Była spokojna o niego, że nikt nie ma do niego dostępu, że to on decyduje, z kim się widzi, może rozwijać swoje pasje.

Wkrótce policja natrafia na dyski z pornografią dziecięcą. Sąd skazuje Trynkiewicza na pięć lat więzienia. To matka wam je dała?

To nie jest tak, że dla własnego komfortu czy spokoju mogłaby zrobić cokolwiek przeciwko niemu. Ona ma bardzo silne matczyne uczucia do niego.

Poznałeś Mariusza Trynkiewicza?

Tak. Rozmawiałem z nim, podziękował mi za opiekę nad matką. Więzy między matką a synem są w tym wypadku bardzo silne. Oni bardzo długo mieli tylko siebie. Zwłaszcza on miał tylko matkę i mógł tylko na niej polegać. Do dziś bardzo liczy się z jej zdaniem. Gdyby pani Urszula kazała mu coś zrobić, to on by to zrobił.

Jaki jest?

Bardzo inteligentny człowiek. Spokojny.

Rozczarowany, że nie jest na wolności?

Teraz jest już z tym pogodzony, ale faktycznie na początku myślał, że wróci do

normalnego życia.

Teraz ma jeszcze żonę.

Pani Urszula jest bardzo zadowolona z tego, że Mariusz ma kogoś. Nie zostanie sam, gdy ona umrze.

Pani Urszula ma dobre relacje z synową?

Tak, żona Trynkiewicza regularnie przyjeżdża do Piotrkowa, opiekuje się teściową, mają dobry kontakt. Długo się zastanawialiśmy z panią Urszulą, skąd się ta miłość wzięła.

Nie rozmawiała o tym z synem?

Nie pytałem o takie rzeczy, to już zbyt intymne. Czasami mówiła sama, że wysłała mu paczkę, albo że on jej przysłał kartkę z wierszem napisanym dla niej. Ale nie mówiła nigdy o relacjach syna z jego żoną.

Teraz, gdy sprawa już przycichła, masz cały czas kontakt z Urszulą Trynkiewicz?

Rzadko, ale pani Urszula czasami dzwoni, bo potrzebuje się wygadać. A to że na działce ma coś do zrobienia, a to że ją kot podrapał.

Lubisz ją?

Nie potrafię powiedzieć, czy ją lubię, czy nie, ale mamy do siebie szacunek i taką zawodową sympatię.

Gostynin

29 kwietnia 2014 roku, po tym jak sąd apelacyjny podtrzymał wniosek sądu pierwszej instancji o odizolowanie Mariusza Trynkiewicza w Ośrodku Psychiatrii Sądowej, najbardziej znienawidzony człowiek w Polsce trafił do Gostynina. Późną nocą został tu przywieziony policyjną furgonetką z przyciemnionymi szybami, w asyście funkcjonariuszy w nieoznakowanym radiowozie.

Kwiecień 2018 roku. Las. Słońce. Osiedle, kilka starych bloków z lat 80. Jedna droga asfaltowa, kilka dróg szutrowych i długi druciany płot. Za płotem szpital, jakich w Polsce setki. Dwupiętrowy, pomalowany na żółto. Na dużym obszarze pomiędzy sosnami oddziały psychogeriatricznej, rehabilitacji neurologicznej, pracownia rentgenowska, oddział leczenia alkoholowych zespołów abstynenckich. W środku kompleksu mur. Biały, wysoki na pięć metrów. Nowy. W murze metalowa biała brama, otwierana automatycznie. Brama ma numer 8.

Za nią znajduje się Regionalny Ośrodek Psychiatrii Sądowej.

Tu od czterech lat mieszka Mariusz Trynkiewicz. Kilka dni temu obchodził 56 urodziny. Od pięciu miesięcy nie pali. Waży ponad 130 kilogramów. Ponoć go to martwi. Raz w tygodniu odwiedza go żona. Po ślubie, który wzięli w ośrodku, nie przyjęła jego nazwiska. Czasami z Tamarą przyjeżdża matka najbardziej znanego pacjenta w Gostyninie. Bo o Trynkiewiczzu i innych nie mówi się „więźniowie”. Swoje kary już odbyli, teraz są leczeni. Dla bezpieczeństwa swojego i otoczenia. Za jakieś 2 tysiące złotych miesięcznie – tyle kosztuje utrzymanie jednego pacjenta. Na początku było ich kilkunastu, teraz jest ponad trzydziestu – między innymi Leszek Pękalski, znany jako „wampir z Bytowa”. Skazany za morderstwo jednej kobiety, choć śledczy próbowali mu udowodnić 17. Sam przyznał się do zamordowania 67.

Leczą się tu gwałciciele, mordercy. Kobiety i mężczyźni. Mariusz Trynkiewicz był pierwszym, który trafił do Gostynina. Jest tu najdłużej. Jego leczenie jest bezterminowe.

Od czasu do czasu Tamara zabiera do męża swoją pełnoletnią już córkę.

Dziewczyna miała 14 lat, gdy jej matka wyszła za mąż za „bestię z Piotrkowa”. I nie miała na to wpływu. O Trynkiewiczu nie mówi „ojciec”. Cierpi na anoreksję.

Naprzeciw drzwi wejściowych jest piaszczysty parking, kilka drzew i stary jak świat bufet, w którym kiedyś wydawano posiłki. Dziś sprzedaje się tu artykuły spożywcze. Jeśli ktoś z odwiedzających pacjenta Ośrodka Psychiatrii Sądowej zapomniał o jego ulubionej czekoladzie czy kawie, to na szybko kupi ją właśnie tutaj. Sklep jest czynny od 9.00 do 15.00.

Obok bramy są białe metalowe, zbrojone drzwi. Nad nimi kamery. Biały mur jest nimi nafaszerowany. Obok dzwonek i również kamera. Dzwonię.

Drzwi się otwierają. Pierwsza śluza. Za nią kolejne drzwi otwierane automatycznie. Kolejne kamery. I kolejna śluza. I kolejne drzwi. Chwila oczekiwania – te też się otwierają. Portiernia. Strażnik w szarej koszuli i dżinsach ma tu prawdziwe centrum dowodzenia. Siedem monitorów, na nich kilkanaście podglądów z kamer. Błat z przyciskami w różnych kolorach. Zielone służą do otwierania drzwi, czerwone alarmują, że coś jest nie tak. Na stole tablet, laptop, telefon komórkowy, długopisy i notatnik. Na ścianie wideotelefony i krótkofalówka. Strażnik nie ma broni.

Na obu oddziałach w Ośrodku pracuje blisko pięćdziesiąt osób.

Gdy pogoda jest taka jak dziś, pacjenci spędzają czas na patio. Z okien poczekalni ich nie widać. Białe ławki, równo przycięta trawa i boisko do siatkówki przypominają bardziej sanatorium niż ośrodek dla wyjątkowo niebezpiecznych przestępców.

Przebywający w Ośrodku mogą też pojeździć na rowerze, ale tylko na stacjonarnym. W budynku jest minisiłownia, stół do ping-ponga, który nie cieszy się popularnością, stepper i piłkarzyki. Różowe ściany, a na nich obrazy malowane przez mieszkańców Ośrodka. Prym wśród twórców wie dzie Mariusz Trynkiewicz, który najwięcej czasu poświęca właśnie na malowanie i pisanie wierszy.

– Chciałam się spotkać i porozmawiać z pacjentem.

– Którym? – mówi grzecznie do słuchawki wysoki strażnik za szybą portierni.

– Mariuszem Trynkiewiczem.

Mężczyzna jest zdziwiony. Trynkiewicz od lat spotyka się tylko z najbliższymi osobami. Nigdy nie wychodzi do tych, których nie zna. Strażnicy mają krótką listę

nazwisk odwiedzających go gości. Mojego nazwiska na tej liście nie ma.

Gdy kilka miesięcy wcześniej dzwoniłam do Ośrodka, Trynkiewicz podszedł do pielęgniarki, która odebrała telefon. Niskim, spokojnym głosem poprosił ją, by przekazała, że nie jest zainteresowany rozmową o książce. Na koniec grzecznie podziękował.

– A w jakim celu chce się pani spotkać z panem Mariuszem Trynkiewiczem? – dopytuje strażnik, trzymając słuchawkę przy uchu.

– Piszę książkę o zbrodni, którą popełnił trzydzieści lat temu. Chciałabym z nim o tym porozmawiać.

Wciąż zdziwiony strażnik przekazuje informacje kierownikowi oddziału, na którym przebywa Trynkiewicz.

– Proszę poczekać.

Poczekalnia to też pokój spotkań pacjentów z odwiedzającymi.

Podłoga i ściany wyłożone jasnymi, beżowymi płytkami ceramicznymi. Dwa stoły dla gości. Przy każdym po trzy krzesła. W rogu pomieszczenia dystrybutor z wodą. Na suficie kamery, w oknie siatka. Pod ścianami szafki, szczelnie owinięte folią i pozaklejane taśmą malarską. Pewnie po to, by nikt nic tu nie zostawił, nie przemycił. Za każdym razem strażnik dokładnie sprawdza odwiedzających. Nie można wносить alkoholu ani narkotyków. Za oknem żywopłot i oddziały, na których mieszkają „bestie”. Bo dla „bestii” ten ośrodek został stworzony.

Mieszkają w pokojach dwu-, trzy- i czteroosobowych.

Mariusz Trynkiewicz ma dwójkę. Długo mieszkał sam. Zresztą długo był sam w całym Ośrodku. Media rozpisywały się, ile dziennie kosztuje podatników jego leczenie. Na początku kosztowało ponad dwa tysiące złotych. Za każdy dzień. Bo cały ośrodek funkcjonował tylko dla jednego pacjenta.

Pokój Mariusza Trynkiewicza pomalowany jest na jasnoróżowo. Na podłodze wrzosowe, jaskrawe linoleum. Na ścianach obrazy. Dwa niewielkie tapczany i białe nocne szafki obok. Pod ścianą metalowa szafa: taka, jak kiedyś szafki w przebieralniach w dużych zakładach pracy. Meble przymocowane do podłogi specjalnymi uchwyty. Jaskrawe kolory bardziej pobudzają, niż uspokajają. Pokój

przypomina młodzieżową bursę.

To wszystko ma skłonić pacjentów do udziału w terapii. Ale większość z nich w terapii uczestniczyć nie chce. A jak nie chcą, to nikt ich do tego nie może zmusić.

Mariusz Trynkiewicz nie może otwierać okien w pokoju. Nie ma przy nich klamek, krat ani siatki. Szyby są ze szkła pancernego, nie do wybicia.

W rogu pokoju jest niewielka łazienka i prysznic.

Klamki nie ma również w drzwiach wejściowych do pokoju. Otwierane są automatycznie. W ciągu dnia są otwarte, bo pacjenci nie mogą być izolowani. Trynkiewicz opuszcza pokój, kiedy chce. W drzwiach do pokoju jest kamera, dzięki której można mieć podgląd tego, co dzieje się w środku.

Po dwudziestu minutach strażnik informuje mnie, że pan Mariusz nie jest zainteresowany rozmową i nie spotka się ze mną. Wieczorem w rozmowie telefonicznej z matką dokładnie mnie opisze. Blondynkę w niebieskich spodniach.

Wyjeżdżam z Gostynina. Piękny słoneczny dzień zapowiada ciepłą wiosnę. Jadę do Piotrkowa, do matki Mariusza Trynkiewicza.

Matka

Sobota. Pierwsze naprawdę ciepłe przedpołudnie tego roku. Po marcu zostały resztki zimowego wiatru. Mieszkańcy sennego Piotrkowa szturmują sklepy i markety – jutro wszystkie będą zamknięte. Szykują się na ciepłą niedzielę, grille i wyjazdy na działki.

Czekam przed blokiem, jakich w Polsce są dziesiątki tysięcy. Pięciopiętrowy, wielka płyta, z lat 70. Dużo zieleni. Spokój. Cisza. Ktoś spaceruje z psem, ktoś wyrzuca śmieci, zza uchylonych okien słychać odkurzacz. Mężczyzna wnosi do klatki torby z zakupami. Nic się nie dzieje.

Okna do mieszkania Urszuli Trynkiewicz są uchylone. Wietrzy mieszkanie. Fruwają firanki.

Przeprowadziła się tu z mężem zaraz po 1988 roku. Uciekli na drugi koniec miasta. Dzwonię domofonem, nikt nie odbiera. Czekam w samochodzie przed blokiem.

Kilkanaście minut później starsza pani, która się mnie nie spodziewa, idzie z zakupami w stronę klatki. Energiczna, niewysoka blondynka. Nie wygląda na ponad 80 lat. Widać ją z daleka, w czerwonym polarze.

Podchodzę spokojnie. Nie chcę jej wystraszyć, zaburzyć sennej soboty.

– Dzień dobry, nazywam się Ewa Żarska, pani Urszula Trynkiewicz?

Przygląda mi się bystrymi oczami z dużą ciekawością, ale bez niepokoju. Uśmiecha się.

– Tak, słucham?

Na prawej powiece ma niewielką narośl. Jej twarz nie zdradza, przez co przeszła. Wygląda na zadowoloną z życia starszą kobietę, po zakupach w osiedlowym sklepie, chwilę przed wyjazdem na ukochaną działkę. W rękach trzyma niezbyt ciężkie torby z warzywami, wędlinami i nabiałem. Trochę niedosłyszony.

– Chciałabym z panią porozmawiać... Możemy?

Wiatr podrywa gwałtownie jej włosy, które pod słońce świecą na żółto. Pięćdziesięcioletni sąsiad wchodzi do klatki, uważnie mi się przygląda, jakby gotowy chronić sąsiadkę przed intruzem. Widać, że on i reszta sąsiadów dokładnie

pamiętają obłężenie przez dziennikarzy w 2014 roku. A pani Urszula w sąsiadach ma oparcie.

– O czym chce pani porozmawiać? – pyta spokojnie.

– Piszę książkę o wydarzeniach sprzed trzydziestu lat... To już będzie teraz równo trzydzieści lat...

Przygląda mi się wciąż spokojnie, nie korzysta z pomocy sąsiada, który nadal trzyma drzwi do klatki. Tak, by mogła wejść i uciec przede mną.

– Panie Marku, niech pan zamknie, ja sobie zaraz otworzę. Dziękuję.

Przygląda mi się, a jej oczy nie wyrażają złości. Mruży je, bo świeci mocne, wiosenne słońce.

– Ale po co? Ta książka niepotrzebna. Już wszystko zostało powiedziane. Ja już jestem stara, mam spokojne życie. Po co wracać do tego? Ja bym nie chciała tej książki. Mariusz też nie. Ja mówiłam, że nie chcę o tym rozmawiać...

Wiem, że nie można przy niej używać słów „morderca” i „pedofil”. Działają jak natychmiastowa blokada i kończą każdą rozmowę. Ale jak rozmawiać o Mariuszu Trynkiewiczu bez tych słów?

– Wciąż jest tyle pytań bez odpowiedzi...

Urszula Trynkiewicz zerka w kierunku swoich okien, jakby spodziewała się kogoś w nich ujrzeć. Niezainteresowana, z grzeczności dopytuje:

– Jakich pytań? – Nie odrywa wzroku od poruszających się w jej oknach koronkowych firanek. – Kotka mam. Kajtuś. Na pewno już siedzi w oknie. Jak słyszy mnie przy klatce, to od razu siada na parapecie. Ma taki ładny pręgowany grzbiet... Przychodzi do mnie i się tak przytula. A pani też ma kotka?

– Tak. Trójkolorkę. Ale jest troszkę aspołeczna. Zastanawiam się, jak tak czytam i analizuję akta tej sprawy, czy pani syn mógł sam zabić tych chłopców, czy ktoś mu pomagał?

– Czyli też ma pani kota. A męża? I dzieci?

– Bo wie pani, to mało prawdopodobne, że on dał radę naraz trójce wysportowanych chłopców. Pamięta pani, mówiło się o tym mężczyźnie w słomkowym kapeluszu?

– Mariusz jakieś narkotyki wziął i nie wiedział, co robi. Stracił rozum. Ale ja nie chcę o tym rozmawiać. Ja, proszę pani, się tu w Piotrkowie urodziłam, tu poznałam męża, urodziłam dziecko, ja tu ponad trzydzieści lat w laboratorium kolejowym pracowałam. Teraz jestem na emeryturze. Ludzie mnie lubią, nikt nigdy mi nie powiedział złego słowa. Mam działkę i tam jeżdżę, teraz koleżance kotek uciekł i ona to tak przeżywa. Zaraz zresztą do niej tam jadę. Pyta mnie, jak znaleźć tego kotka. Nie wie pani?

– Może szmatkę nasączyć kocimiętką? To może przyjdzie. Koty lgną do tego zapachu. Uwielbiają.

– Ja wiem, proszę pani, jak to jest, jak kot ucieknie. Miałam dwanaście lat takiego kotka, tak go kochałam, no i ktoś otworzył drzwi od klatki i ten kotek uciekł, i już nigdy nie wrócił. Ja myślałam, że zawał będę mieć. Tak mnie serce bolało. A pani ma jakiego?

– Trójkolorkę.

– Aha, bo ja, wie pani, rodzeństwa nie miałam, tylko męża i Mariusza. Mąż zmarł dwanaście lat temu. Miał alzheimera. Co ja z nim przeszłam na koniec... Nie poznawał mnie. Kiedyś w nocy mnie młotkiem zaatakował. Chciał zabić, bo nie wiedział, że to ja. Później był w ośrodku w Moszczenicy. I zmarł. Męczył się już. Cały czas chodzę do niego na grób. No i ja tylko tego kota miałam. I jak on uciekł... I na szczęście sąsiadka mi dała tego drugiego. Na pewno już siedzi na parapecie. Siedzi?

Nie widzę. Okna są pod słońce.

– Bo chciałabym z panią porozmawiać, jak to jest żyć z piętnem takiego syna, który zrobił coś takiego?

– Mi nigdy nikt nie groził, nigdy nawet nikt nic nie powiedział. Ludzie nam współczuli. O czym tu mówić. Ja tu normalnie żyję. Jak każdy. Jestem spokojna. I chciałabym, żeby tak już było. No trochę mam problemy z nadciśnieniem, ale jest dobrze... Mariusz zrobił olbrzymią krzywdę, ale ja mam tylko jego. Jest moim jedynym dzieckiem i ja go kocham pomimo tego, co zrobił.

– A sąsiedzi? Wtedy i teraz?

– Nigdy nic nam złego nie zrobili, nie mówili. Lubią mnie teraz. Wie pani, ja nawet

jak do Mariusza teraz paczkę taką dużą na święta wysłałam, bo tamtego jedzenia się nie da jeść, to sąsiad mi pomógł zanieść ją na pocztę. Pieniądze też mu wysyłam, żeby mógł sobie coś kupić.

– Widzi się pani z nim często?

– No widzę go, jak mnie tam zawożą. Ale codziennie rozmawiamy przez telefon. On jest bardzo zdolny. Codziennie do mnie dzwoni. Piękne wiersze pisze. Pięknie maluje. Wie pani, mam cały pokój w jego obrazach. Przysyła mi takie laurki. A pani nie jest zimno w tym płaszczyku?

Wieje chłodniejszy wiatr, ale słońce świeci coraz mocniej. Zbliża się południe. I trudne pytanie.

– A spotkała się pani kiedyś z rodzicami tych chłopców?

Cisza. Matka Mariusza Trynkiewicza przestaje się uśmiechać. Patrzy przed siebie.

– Nie. A po co? Co ja bym im miała powiedzieć? Zresztą oni zawsze mówili, że matka to przecież temu niewinna...

– A oni też nie chcieli?

– No ale po co? No co ja bym im miała powiedzieć? Przepraszam, ale ja zaraz muszę iść, bo przyjadą po mnie i na tę działkę do Przygłowa jedziemy. Po zimie wreszcie ciepło, trzeba posprzątać...

– Synowa przyjedzie po panią?

– Nie, nie.

– A cieszy się pani, że syn ma żonę?

– Tak. Żona Mariusza jest bardzo dobra. Opiekuje się mną. Przyjeżdża tu. Jeździ do Mariusza. Poznała ją z Mariuszem taka koleżanka, co o Mariuszu pisała pracę doktorską. Jeszcze jak siedział w więzieniu w Strzelcach Opolskich. I ta Magda polubiła Mariusza i pisała do niego, i rozmawiali. I poznała go później ze swoją koleżanką. I ta została jego żoną. Ta Magda to nawet świadkową na ich ślubie była. Bo one są przyjaciółkami. I teraz też Magda do mnie co niedziela dzwoni. Bo wie pani, ja czasami się czuję samotna trochę. Ale żona Mariusza bardzo o mnie dba. Chciałabym z kimś porozmawiać... Ale muszę już iść, bo zaraz na tą działkę jadę.

– A myśli pani, że pan Mariusz by się zgodził na wywiad do tej książki?

– Nie, on nie chce tej książki. Ja też nie. Gdyby nie dziennikarze, ja już bym nie pamiętała...

Ale pamiętają wciąż, choć chcieliby zapomnieć, najbliżsi zamordowanych chłopców. Mariusz Trynkiewicz w jedno popołudnie zmienił życie ich rodzin. Nigdy nie dowiedzą się, jak mogłoby wyglądać, gdyby nie on.

Brat

Zniszczony, wielorodzinny dom na osiedlu domków jednorodzinnych w Piotrkowie. Wygląda na opuszczony. Na schodach ulotki reklamowe. Zardzewiała brama, zapuszczony trawnik. W oknach firanki, których świeżość pozostawia sporo do życzenia. Przy furtce nie ma dzwonka. Uchyłam ją. Wchodzę na podwórko. Po betonowych schodach bez poręczy, na których leżą stare kości po kurczaku, dochodzę do jedynych drzwi widocznych od frontu budynku. Dzwonek nie działa. Pukam, choć jestem przekonana, że nikogo tu od dawna nie było. Gdy po kilkudziesięciu sekundach odwracam się od drzwi, słyszę szelest i ruch w środku. Otwiera mi zarośnięty mężczyzna w średnim wieku, w zniszczonej, zakurzonej bluzie. Robert Łojek.

Mama w 2016 zmarła... Wtedy gdy Tomek został zamordowany, miałem dwanaście lat. Pamiętam tylko bieganinę. Cały czas coś się działo, ale nam, dzieciakom, na początku nikt nic nie mówił...

Tomek był ode mnie dwa lata młodszy. Był taki porządnicki. Zawsze musiał pokazać, jaki to jest dobry. A ja leniuch byłem. Dzień wcześniej, zanim chłopaki zginęli, zamieniłem się z Arturem. To był nasz kuzyn. Pojechałem do niego na wieś, a on przyjechał do Piotrkowa.

Pamiętam, jak tego dnia wieczorem mój ojciec z Kaczmarkiem, tatą Krzyśka, przyjechali na wieś do Kawczyńskich, na motocyklu. Nie wiedziałem wtedy, co się działo. Widziałem tylko, że wszyscy byli jacyś podenerwowani. Wsiedli z wujem, czyli tatą Artura, do ich samochodu i gdzieś pojechali. Wieczorem normalnie poszedłem spać. Nie przeczuwałem niczego. Ciocia też mi nic nie mówiła. Rano, gdy się obudziłem, była tylko ona. Wujka nie było. Dopiero gdy wróciłem do domu, do Piotrkowa, dowiedziałem się, że Tomek z chłopakami poszedł się kąpać na Bugaj i nie wrócili.

Gdyby pan wtedy nie pojechał na wieś, nie zamienił się z Arturem...

To też bym poszedł z nimi, z Tomkiem i Krzyśkiem. Na pewno. Pewnie sam bym ich namawiał. Ale że Tomek nie posłuchał matki...

Zawsze słuchał?

Zawsze. Był synkiem mamusi. Usłuchany. W tamtym czasie byłem na niego o to wkurzony. Ojciec Krzyśka miał ich zabrać nad wodę. Mieli powiedziane, żeby nie szli sami. Ale Kaczmarek wtedy akurat nie mógł, już nie pamiętam dlaczego. No to poszli sami. A mama kategorycznie im zabroniła. Gdyby posłuchał, tak jak zawsze...

Rodzice szukali chłopców kilka dni.

Cały czas gdzieś jeździli. Do lasu, nad Bugaj. A ja siedziałem na wsi.

Czyli pan do końca nie wiedział, co się stało z bratem?

To, że zaginęli, że nie wrócili do domu, to wiedziałem. Później, zanim ich znaleźli, to trochę trwało. Ale to było poza nami, dziećmiakami. Dorośli o tym wtedy z nami nie mówili.

A gdy już było wiadomo, że nie żyją?

Gdy już wszystko wyszło na jaw, to mi powiedzieli, ale bez szczegółów, że Tomek nie żyje, że zabił go obcy pan. I tyle.

Więcej dowiadywałem się od innych ludzi. Koledzy coś usłyszeli w domu od rodziców, to mi mówili. No i się w końcu dowiedziałem, że poszli do lasu, sami, nad wodę, tam jakiś gościu ich dorwał...

A jak później przypadkowo znalazłem zdjęcia z miejsca, gdzie odkryli zwłoki, z tego lasu, i te okopcone, nadpalone ciała, to się źle z tym poczułem. Tak nie za bardzo. Rodzice głupio te zdjęcia przede mną schowali, w bieliźniarce, gdzieś pomiędzy poszewkami. Wtedy już taki byłem trochę skurczybyk i podbierałem im pieniądze. Szukałem kasy, a znalazłem spalonego Tomka.

Mnie się przez całe życie nie chciało wierzyć, że ten pajac sam to zrobił. W sensie że Trynkiewicz sam im dał radę.

Byłem przecież starszy od Artura, a Artur miał tyle siły, na wsi był chowany, że jakby chciał mi przypierdolić, tobym leżał na glebie. Krzysiek Kaczmarek ćwiczył karate. Tomek był najmniejszy, słaby był. Ja go czasami broniłem. Pamiętam, jak kiedyś go starszy chłopak w szkole poobijał, to się tak wkurwiłem, że gościowi na stołówce łeb do talerza z zupą włożyłem. Na szczęście była letnia. Miałbym kłopoty, jakby się poparzył.

No nie wiem. Może oni byli w takim szoku, że nie zareagowali. Sam nie wiem, jak bym się wtedy zachował. Jakby ktoś nóż przy mnie wyjął. Ale że krzyku nie narobili... nic? Nie chce mi się wierzyć, że on to sam zrobił.

Biegli stwierdzili, że Tomek miał tak zwaną skórę praczki, czyli tak jakby jego ciało długo przebywało w wodzie. Rodzice mówili panu coś o tym?

Aż tak szczegółowo to mi nie mówili. Zresztą oni mnie zaraz po tym wszystkim wysłali na cztery miesiące do sanatorium, żeby mnie od tego odciąć. Ja też nie chciałem o tym słuchać ani rozmawiać. Wtedy w mieście wszyscy o tym mówili, wrzało. Mam do nich, do rodziców, żal, że ze mną nie porozmawiali wtedy jak należy, tylko się mnie pozbyli. Trochę tak jakby mnie chcieli mieć z głowy, żeby nie musieli mi nic wyjaśniać. Nie tak powinni to załatwić.

Ale z drugiej strony wtedy nam się w Piotrkowie bardzo trudno żyło. Nie można było nigdzie wyjść. Ludzie zaczepiali, pytali. To były takie czasy, że nie mieli skąd brać informacji, to pytali nas. A my nie chcieliśmy o tym mówić. Cały czas nam się przyglądali. Pokazywali palcami.

Pamięta pan dziś brata?

No właśnie nie za bardzo. Niby pamiętam sytuacje z nim związane, ale nie mogę sobie jego twarzy przypomnieć. Jak spojrzę na zdjęcie, to tak, ale jak siadam i mam się tak skupić, to nie mogę sobie jego twarzy przypomnieć, tylko ze zdjęcia, co stoi w domu. Tak z podwórka to nie mogę...

Gdyby Tomek wtedy posłuchał matki i nie poszedł, to pana życie wyglądałoby inaczej?

To zmieniło życie każdej z tych rodzin. U Kaczmarków jeden syn się powiesił, drugi nigdy się nie pozbierał i jest taki trochę dziwny. Ciocia Mirka bardzo to przeżyła, zresztą moja mama też długo na tabletkach była. Płakała latami po kątach, a ojciec chyba nigdy tego nie udźwignął. Ja długo nie mogłem sam wychodzić. Bardzo mnie krótko trzymali, cały czas pilnowali.

Później się mało mną zajmowali, nawet ciocia mi to kiedyś powiedziała. Że nie mieli dla mnie czasu. Rodzice kłócili się ze sobą i nadal nie mieli czasu się mną zająć. No to brałem narkotyki, piłem, nie uczyłem się. Bo po co się starać, jak cię nigdy nikt

nie chwali? Kiedyś ciocia mi powiedziała, że największy błąd, jaki zrobili moi rodzice, to to, że się po śmierci Tomka nie zajęli mną, tylko jakoś tak odpuścili.

Rozpamiętywali Tomka?

Tak. Może to nie było aż tak jak u Kaczmarków, że nie można było powiedzieć słowa o tej zbrodni, ale moi też tym żyli. Na początku nie mogłem się bawić zabawkami Tomka, nie mogłem ich dotykać. Dopiero po jakimś czasie mama mi pozwoliła. Zawsze musiałem odłożyć je tak, jak leżały, gdy Tomek ostatni raz był w domu.

Był taki ludzik z plasteliny, ja go zrobiłem, zaraz jakoś przed tym wszystkim. Chciałem go kiedyś, już długo później, sprzątnąć. Ale mama była pewna, że to Tomek zrobił, że ulepił tego kowboja, i zaczęła na mnie potwornie krzyczeć, że nie mam prawa go wyrzucać, bo to Tomka, żebym nie dotykał. W ogóle nie słuchała, że to ja go zrobiłem...

Jest pan zły na brata?

Tak. Nasze życie mogło być dużo lepsze. Moje.

Myślał pan, że jak Trynkiewicz wyjdzie na wolność, to go pan dopadnie?

No o tym to cały czas wtedy myślałem. Cały czas się to gdzieś tłukło po łbie. Tylko wie pani, człowiek ma rozum. Kiedyś się właśnie o to pokłóciłem z Kaczmarkiem. Poszedłem do wuja na wódeczkę, już byłem dorosły, i on mnie namawiał, że jak Trynkiewicz wyjdzie, to my go zarąbiemy. Popatrzyłem na niego i mówię: „Człowieku, ja nie będę za małą siedział”. No to się wkurzył na mnie, że nie chcę brata pomścić. A ja pomścić chciałem, i to z olbrzymią chęcią, ale mówię do wuja: „Zróbmy to tak, żeby nikt nigdy ciała nie znalazł”. No ale co, da się tak zrobić? No nie da... No co? Zjem go? A teraz to mi zwisa, co z nim będzie. Mam czterdzieści dwa lata i już mam wyrąbane na tego gościa.

Chociaż nie wiem, co bym zrobił, jakbym go tu teraz zobaczył. Jakby tu szedł ulicą...

Spotkaliście się kiedyś z rodzicami Trynkiewicza?

Nie, chyba że rodzice jakoś potajemnie, ale pewnie bym o tym wiedział. Mama nie chciała mieć z nimi nic wspólnego. Ja też nie chciałem. Mnie to tej jego matki jest tak

całkowicie szkoda, bo to nie jej wina, że ma syna takiego, jakiego ma.

A pan ma dzieci, rodzinę?

Nie. Niestety. Miałem dziewczynę, mieliśmy się chajtać, ale zginęła w wypadku samochodowym.

A gdyby Tomek żył?

To pożyczalby mi kasę. Zresztą, ile razy ja mu podbierałem pieniądze. Ha, ha, ha. Kasa się go trzymała. Zawsze wszystkim pomagał. I zawsze musiał się pokazać. Kiedyś dostałem wpięprz przez niego. Bo musiał przed mamusią synek pokazać, jaki on jest wspaniały, i pozmywać talerze. Takie porcelanowe, ulubione mojej mamy. Tylko że ten wieszak, gdzie się odkładało umyte naczynia do suszarki, był za wysoko i Tomek go zerwał. Talerze spadły i wszystko się potłukło. Spojrzał na mnie, blady, wystraszony, a ja mówię: „Dobra, siadaj szybko do lekcji”. Sam łapy w wodę wsadziłem, że niby zmywam, mama zbiegła na dół i dostałem w dupę, że potłukłem porcelanę.

Kiedyś poszliśmy na Sienkiewicza po frytki i z kumplem kupiliśmy sobie po porcji, a Tomek cały czas mi truł: „No kup mi też, kup mi”. Mówię do niego: „Spieprzaj, nie masz kasy, to co mnie to obchodzi”. I on tak mnie prosił, tak mi truł, że ta kobieta, co sprzedawała, dał mu za darmo te frytki. Byłem tak wściekły, że chciałem mu wyrwać i wyrzucić do kosza... Taki byłem. Może dlatego, że mi nikt nic nie dał za darmo.

Teraz jestem ciekawy, czy mama by się zgodziła porozmawiać. Ona nigdy nie chciała z dziennikarzami rozmawiać. Z nikim. Miała pretensje, że przez dwadzieścia lat nikt się nami nigdy nie interesował. Ani żaden psycholog, ani nikt nigdy nie zapytał, jak sobie radzimy. Nikt nie zajrzał, jak się nam powodzi. Nie finansowo, ale psychicznie. A jak on wyszedł z więzienia, to co chwila tu podjeżdżali, cały czas. Telewizje, radia, gazety, wszyscy zaczęli się zwać i nagle wszyscy chcieli wiedzieć, jak się czujemy. Ja też nie gadałem. Tata też nie chciał.

Trzy domy wcześniej, przy tej samej ulicy co Robert, mieszka mama Krzysia Kaczmarka, czyli ciocia Regina. Jej dom również lata świetności ma dawno za sobą. Gdy wprowadzała się do niego z całą rodziną w latach 80., był świadectwem wysokiego statusu. Mąż cioci Reginy, wujek Staszek, do końca życia walczył

o prawdę. Chciał, by Mariusz Trynkiewicz nigdy nie wyszedł z więzienia. Wtedy, w latach 80., pracował w kopalni Bełchatów. Zarabiał bardzo dobrze. Było ich stać na duży, nowoczesny segment. Na dobre wakacje i rozpieszczanie synów. Często chodzili do Peweksu. Ludzie im zazdrościli. Byli szczęśliwi. Mieli synów i siebie. Trynkiewicz w kilka chwil zabrał im wszystko, na zawsze.

– Dzień dobry, nazywam się Ewa Żarska, piszę książkę o zbrodni i o pani synu. Chciałabym też napisać, jak ta tragedia zmieniła wasze życie.

Starsza, postawna kobieta z czarnymi włosami przyprószonymi siwizną patrzy na mnie, a w jej oczach pojawiają się łzy. Nie chce rozmawiać. To wciąż zbyt świeże, zbyt dobrze to pamięta, choć minęły aż trzy dekady. Dla niej jednak czas zatrzymał się w lipcu 1988 roku.

Regina Kaczmarek ma na sobie czerwony sweter, na to narzucony niebieski polar. Czarna spódnica w białe kwiaty powiewa na wietrze. Stoi w drzwiach, gotowa zamknąć je od wewnątrz. Nie chce rozmawiać, bo nie chce znów płakać. Ile ona jeszcze może w życiu płakać, pyta nie wiadomo kogo. Wszystkie rzeczy po Krzysiu były w domu tak, jak je zostawił, gdy wybiegł nad wodę. Nigdy ich nie ruszała. Tylko odkurzała. Zawsze delikatnie. Zabawki i ubrania zamordowanego syna wyrzuciła dopiero po śmierci męża, w 2016 roku. Wtedy pozbyła się wszystkiego, co mogło jej przypominać o tamtej tragedii. Wyrzuciła też rzeczy męża i wszystkie rzeczy drugiego syna, starszego od Krzysia o dwa lata Daniela. Dziesięć lat po śmierci Krzysia Daniel popełnił samobójstwo. Powiesił się. Nie umiał żyć z piętnem starszego brata, który nie ochronił młodszego przed bestialską śmiercią. Byli bardzo zżyci. Został trzeci syn, mieszka razem z matką. Mają już tylko siebie. Artur nie radzi sobie w życiu, bo od trzydziestu lat życia w tej rodzinie nie ma. W 1998 roku pisał do minister sprawiedliwości Hanny Suchockiej z prośbą, by udostępniono mu akta sprawy. Wcześniej wielokrotnie mu odmawiano. „Oświadczam, że sprawa przeciwko Mariuszowi Trynkiewiczowi dotyczy bezpośrednio mnie, gdyż jedną z ofiar mordercy był mój brat Krzysztof Kaczmarek. Przez blisko 10 lat do chwili obecnej uczestniczyłem tylko w jego pogrzebie. Nie byłem na żadnej sprawie, a akta chciałbym zobaczyć ze względu na spokój psychiczny”. Tym razem również mu odmówiono.

Matka Krzysia Kaczmarka wciąż marzy, jak by to było, gdyby Krzyś nie spotkał

tamtego dnia Mariusza Trynkiewicza.

Trzydzieści lat temu spotkał go na swojej drodze Grzegorz Gałasiński, młody fotoreporter z Łodzi.

Fotoreporter

Grzegorz Gałasiński był jedynym fotoreporterem obecnym podczas wizji lokalnej z udziałem Mariusza Trynkiewicza.

Przepraszam za spóźnienie, straszne korki w Łodzi. Taki zimny ten marzec. A tamten wrzesień był ciepły.

No właśnie, jest początek jesieni, 1988 rok. Masz 27 lat, jeździsz czerwonym maluchem. Masz dziewczynę w Piotrkowie, jesteś fotoreporterem w Łodzi. To chyba całkiem dobry czas dla ciebie?

Tak, pracowałem wtedy od dwóch lat jako fotoreporter w „Odgłosach” w Łodzi. Bardzo prestiżowa praca dla młodego chłopaka. To był dosyć poczytny tygodnik społeczno-kulturalny, a facet z aparatem robił wrażenie. To były zupełnie inne czasy. Miałem wtedy canona T70, nowoczesny aparat. Miał specjalny silnik do robienia szybkich zdjęć. Dziś powszechne, wtedy w Polsce nowość. Zarabiałem bardzo dużo. Pamiętam, że za jedną pensję kupiłem trzyletniego malucha! Mój ojciec na auto odkładał kilka lat. Tak, to były bardzo dobre lata.

A jak to się stało, że zainteresowaliście się morderstwami w Piotrkowie? Tego lata, w 1988 roku, Mariusz Trynkiewicz zamordował czterech chłopców. To był pewnie nośny temat?

Nie, zupełnie nie. W Łodzi się o tym praktycznie nie mówiło. Ludzie wtedy mieli dostęp tylko do dwóch programów Telewizji Polskiej. Nie było tylu kanałów przepływu informacji, co dzisiaj. Dlatego ten temat wtedy nie był sensacją, jaką byłby dziś. Do tego to były czasy, kiedy wszystko w Polsce Ludowej się udawało i było najlepsze, więc z takimi zbrodniami ówczesnej władzy nie było po drodze. Ludzie nie mieli z tymi historiami styczności. Ale dla mieszkańców Piotrkowa to był naprawdę szok.

To jak wy się dowiedzieliście o tych zbrodniach? Milicja raczej nie miała wtedy biur prasowych i rzeczników?

No nie było rzeczników, ale czasami dostawaliśmy z komendy jakieś komunikaty. Oczywiście po mocnej cenzurze. Ale wtedy właściwie głównie dowiadywaliśmy się od ludzi. Ja miałem dziewczynę w Piotrkowie. Jej mama była nauczycielką. Kiedy jeździłem do nich do domu, to bardzo dużo opowiadała mi o tej zbrodni. W środowisku piotrkowskich nauczycieli wrzało. Zresztą w całym mieście wrzało. Ludzie opowiadali sobie tę historię ze szczegółami. Mówili o tym wszędzie, na ulicy, w kościele, w autobusach. Jak się okazało później, często też dodawali nowe wątki do tej historii.

Ludzie byli bardzo poruszeni. Przeżywali, że mordercą był nauczyciel. W tamtych czasach nauczyciel był autorytetem, cieszył się olbrzymim szacunkiem. Był trochę jak ksiądz.

I co ci ludzie mówili?

Że to była zbrodnia na tle satanistycznym, właściwie to był obrzęd satanistyczny. Wtedy w Polsce był początek takich subkultur. Bardzo mocny był Jarocin. Zwykli ludzie się tego bali, nie rozumieli na przykład różnicy między punkiem a satanistą. W Piotrkowie ta teoria o satanistach była bardzo popularna. Właściwie jedyna. Wszyscy mówili tylko o satanistach.

No i tak nasłuchałem się tego i zaproponowałem w redakcji, że warto się przyjrzeć morderstwom i o tej zbrodni napisać. A do Piotrkowa daleko nie było.

I pojechałeś?

Tak, z Romkiem Kubiakiem, naszym reporterem.

Pojechaliśmy moim czerwonym maluchem. Najpierw na osiedle, gdzie mieszkał Trynkiewicz. Ludzie od razu nam pokazali blok, powiedzieli, które mieszkanie.

Tak jak mówiłem, wszyscy byli przekonani, że Trynkiewicz był satanistą. Opowiadali, że na drzwiach do jego mieszkania jest znak odwróconego krzyża, a drzwi do piwnicy pomalował na czarno.

No to poszliśmy do jego rodziców, mieszkali obok niego. Romek chciał najpierw z nimi porozmawiać, ale nikogo w mieszkaniu nie było. Sąsiedzi mówili, że oni się bali wychodzić z domu. Bali się linczu, zemsty. Poszliśmy więc do mieszkania Trynkiewicza.

Można było tak wszędzie wchodzić?

Tak. Wszystkie klatki były pootwierane, w Piotrkowie w blokach nie było jeszcze domofonów, a z dziennikarzami ludzie chętnie rozmawiali. Stanęliśmy w końcu przed drzwiami Trynkiewicza. Faktycznie był wyskrobany znak odwróconego krzyża. Czy to było zrobione przez niego, czy zrobił to ktoś inny, nie wiem. Nie było trudno wyskrobać coś takiego. To był taki krzyż na dwa centymetry.

Później zeszliśmy do piwnicy. Drzwi częściowo były pomalowane na czarno. Ale to też każdy mógł pomalować.

Na osiedlu, gdzie mieszkał Mariusz Trynkiewicz, tych symboli, a raczej pseudosymboli satanistycznych było bardzo dużo. Na przykład na przystanku autobusowym było mnóstwo wyskrobanych krzyży, szóstek. Mieliśmy zdjęcia tego wszystkiego.

A ludzie co wam opowiadali?

Wszyscy oczywiście byli zszokowani. Tego dnia spotkaliśmy przede wszystkim starsze osoby. Głównie kobiety. Mówiły, że Trynkiewicz miał na bakier z Bogiem. To było opowiadane przez pryzmat religii. Nikt nie mówił, że to była zbrodnia na tle seksualnym. Tylko wszyscy, że on to na pewno zrobił z jakichś wyższych przesłanek...

Był pedofilem...

W tamtych latach nikomu przez gardło nie przeszłoby takie słowo jak pedofil, pedofilia. Nawet nie wiem, czy wtedy ludzie wiedzieli, co to jest. Nikt nie tłumaczył tej zbrodni jego pociąganiem seksualnym do dzieci, tylko szatanem i religią.

I co było później?

Pojechaliśmy nad Bugaj, tam, gdzie Trynkiewicz spotkał chłopców. Wtedy też ludzie nam mówili, że on ich tam zamordował. Nie w mieszkaniu. To była często powtarzana wersja. Chcieliśmy zobaczyć to miejsce i zrobić zdjęcia. Mieszkańcy Piotrkowa opowiadali, że nad Bugajem też jest dużo dowodów na obecność satanistów w mieście. I faktycznie, na ławkach, przy wiatach były satanistyczne symbole. Krzyże, pentagramy, szóstki. Dużo tego było.

W pewnej chwili zobaczyliśmy na ścieżce nad jeziorem grupę ludzi.

Poszliśmy zobaczyć, co się dzieje. Przeszliśmy zaroślami, nad samym brzegiem, taką ścieżką wydeptaną przez wędkarzy. Nie było nas widać.

I nagle stanęliśmy twarzą w twarz z Trynkiewiczem.

Byłem zszokowany. Zupełnie nieświadomie natrafiliśmy na wizję lokalną.

Jak to nieświadomie? Nie wiedzieliście? To miejsce nie było zabezpieczone przez milicję?

No właśnie nie. To były zupełnie inne czasy. O wizji lokalnej nikt nie wiedział. Przecież ludzie by go zlinczowali. To nie tak jak teraz, że wszyscy mają jakieś przecieki i na miejscu są kamery, wozy satelitarne, reporterzy. Nie mieliśmy pojęcia, że akurat w tym dniu jest wizja lokalna. Przyjechaliśmy napisać tekst o Trynkiewicz, satanistach, a przypadkowo trafiliśmy na wizję i na niego.

A milicja nas nie zatrzymała, bo nad tą wodą szliśmy szuwarami. Oni nas po prostu nie widzieli.

No i wyszliśmy wprost na całą ekipę. Jakies cztery–pięć metrów od niego.

Nikt nie chciał z nami rozmawiać. Ale też nie pamiętam, żeby nas ktokolwiek przeganiał. Więc spokojnie robiłem zdjęcia.

I jak go zobaczyłeś z tych czterech–pięciu metrów...?

To był chłop jak pięć minut, no kurczę, niemal połowa ciebie, drobny, malutki, szczuplutki, zupełnie niepozorny. W życiu by ci nie przyszło do głowy, że on zabił te dzieciaki. Nie mogłem sobie wyobrazić, jak taki chuderlak mógł przenosić te ciała. Przecież ważyły po kilkadziesiąt kilo. A on takie chuchro.

A widziałeś w nim bestię? Mordercę?

W życiu. Ani bestia, ani nawet żaden psychopata. Całkowicie niepozorny, nierzucający się w oczy człowiek. Był spłoszony, wystraszony, taki skulony w sobie.

A kiedy was zobaczył, to jakoś zareagował?

Nie, w żaden sposób.

Byli tam jeszcze jacyś dziennikarze?

Nie, nikogo nie było.

A rodziny zamordowanych chłopców też tam były?

Podobno tak, ale my ich nie widzieliśmy.

A na jaki moment trafiliście?

Trynkiewicz nic nie mówił, był tylko oprowadzany. To wyglądało trochę jak

spacer. On się nie odzywał. Byliśmy zaskoczeni tym, co widzieliśmy. To wyglądało tak, jakby była jakaś gotowa wersja. Na takiej zasadzie, że masz już wersję wydarzeń, idziesz miejsce po miejscu, to było tu, to było tu, nikt nie dyskutuje, nikt nie zadaje pytań. Nikt nie wyjaśnia, tylko wszystko jest jakby gotowym scenariuszem.

A czy gdy zobaczyłeś Trynkiewicza, to pomyślałeś: to prawdopodobne, że on to zrobił sam? Że był w stanie sam zamordować trzech wysportowanych, zdrowych chłopców?

Dużo o tym wtedy rozmawiałem z Romkiem, bo wydawało nam się to bardzo mało prawdopodobne. On po prostu był słaby fizycznie. Przynajmniej na takiego wyglądał.

A jak się odnosili do Mariusza Trynkiewicza policjanci, prokuratorzy? Jaka tam była atmosfera?

To naprawdę wyglądało jak spacer. Było bardzo spokojnie. Nie słychać było podniesionych głosów. Ale my tam byliśmy tylko kilkanaście minut.

Dlaczego nie towarzyszyliście im do końca?

W końcu poproszono nas grzecznie, żebyśmy odeszli. Wróciliśmy do miasta popytać jeszcze ludzi. Mieliśmy nadzieję, że może uda nam się jednak „złapać” rodziców. Mieliśmy bardzo dobre zdjęcia, potrzebowaliśmy dobrych bohaterów. Ale na nic nowego nie natrafiliśmy. Pojechaliśmy więc jeszcze raz w kierunku Koła, dokładnie tam, gdzie znaleziono spalone zwłoki. Po drodze znowu natknęliśmy się na wozy milicyjne. Mieliśmy tego dnia farta. Natychmiast zatrzymaliśmy się obok nich. To było dokładnie to miejsce, gdzie Mariusz Trynkiewicz spalił ciała chłopców. Ale tym razem niewiele zobaczyliśmy, teren był gęsto zarośnięty. Pamiętam, że miałem problem ze zrobieniem zdjęć.

I Mariusz Trynkiewicz też tam był?

Tak, stał kilka metrów od nas. Oddzielały nas krzaki. Stał przy wypalonym palenisku. To była całkiem spora połać. Był bardzo wyciszony i przestraszony.

Tutaj też nie było rodziców zamordowanych chłopców?

Nie, tutaj było jeszcze mniej osób niż wcześniej, z Trynkiewiczem może pięć, może sześć.

Stamtąd już wróciliśmy do Łodzi, do redakcji.

A w redakcji mieli świadomość, że jako jedyni macie tego Trynkiewicza?

To nie były takie czasy. Media nie były tak liczne jak dziś, więc się też nikt nie ścigał. Poza tym ta cała nasza wycieczka to nie było szukanie sensacji. My chcieliśmy tę historię pokazać od strony psychologicznej: jak ludzie to przeżywali, jak społeczność bała się satanistów. My z tego nie robiliśmy sensacji.

Opublikowaliście materiał i co?

Na pierwszej stronie „Odgłosów” daliśmy moje duże zdjęcie Trynkiewicza i tekst na całą stronę. A później ten temat był bardzo szybko wyciszony. Jeszcze przez chwilę się przekotłował w innych gazetach i po sprawie. Władzy zależało, żeby ludzie już zapomnieli o tej zbrodni.

Wracałeś kiedyś jeszcze do tego tematu?

Nie, już nigdy.

Milicjant

Do sprawy często wraca za to Janusz Sielski. W 1988 roku był funkcjonariuszem milicji. Od początku prowadził sprawę morderstw trzech chłopców. Tamto lato i wydarzenia pamięta z najmniejszymi szczegółami.

Ile pan miał lat w 1988 roku?

Wtedy 40, teraz skończyłem 70 lat, 20 kwietnia.

Czyli był pan już doświadczonym milicjantem.

Tak, kapitanem byłem.

W jakich okolicznościach dowiedział się pan, że znaleziono ciała?

Już byłem w domu, po pracy. Małe dziecko miałem. Odebrałem telefon od oficera dyżurnego Wojewódzkiego Urzędu Spraw Wewnętrznych, że grzybiarz w lesie znalazł spalone zwłoki. Pojechałem na miejsce swoim samochodem, miałem wtedy fiata kombi. Ze mną pojechała też Małgośka Roncowa, była prokuratorem. I zobaczyłem takie zgaszone palenisko. Od razu mnie to zaintrygowało. Te zwłoki były tak ułożone, w jakiś rytualny kształt. Jakby gwiazdę. Pleckami do siebie. Jak worki z ziemniakami. To było pierwsze, co zobaczyłem. Straszne. Od razu było widać, że to dzieci. Po nadpalonych butach. Pamiętam dokładnie do dziś.

Pracowaliśmy wtedy kilka dni non stop. Pierwsze trzy dni są najważniejsze. Wracałem tylko do domu się wykąpać i rano znowu fru – narada i dalej robota. I tak od rana do nocy.

I co pan wtedy myślał? Kto to mógł zrobić? I dlaczego?

Nie wiedziałem, co myśleć. Nic takiego się wcześniej w Piotrkowie nie wydarzyło. To wyglądało na jakiś rytuał. Tyle że my w tamtym czasie nie mieliśmy w mieście takich subkultur jak sataniści. Zdarzały się grupy w dużych miastach, jak Łódź, Warszawa, Gdańsk, ale nie w Piotrkowie. Więc na początku myśleliśmy, że to musi być jakaś grupa wędrowna. Były wakacje, wokół Zalewu Sulejowskiego była masa takich sezonowych obozów młodzieżowych. Zaczęliśmy tam jeździć, sprawdzać wzdłuż Pilicy, każdą grupę, każdy obóz, wszystkich.

I wtedy pojawił się człowiek w słomkowym kapeluszu z toporkiem?

Tak. Ludzie mówili, że widzieli takiego mężczyznę w towarzystwie trzech chłopców. Niektórzy wręcz mówili, że to byli właśnie ci zamordowani chłopcy. No to ściągnąłem z Warszawy, z Komendy Głównej, portrecistę. Trochę to trwało, ale my tu, na miejscu nie mieliśmy takiego człowieka. Przyjechał z zakładu kryminalistyki i zrobili portret pamięciowy mężczyzny. Wszyscy mówili o tym słomkowym kapeluszu, że ten facet miał dresy i toporek przypięty do paska. No i ten wizerunek rozesłaliśmy telefonogramem po całym kraju i daliśmy do gazet. Wszędzie, gdzie się dało.

I co?

No i kompletnie nic. Nic nie ustaliliśmy w związku z tym mężczyzną. Żadnego tropu, żadnego śladu. A tylu ludzi go tego lata widziało nad zalewem. Wysłaliśmy też informację do wszystkich komend w Polsce, że szukamy ludzi, którzy w przeszłości byli karani za gwałty i napaści na dzieci. Szukaliśmy notowanych za pedofilię, molestowanie nieletnich.

I to był strzał w dziesiątkę...

Tak. Do Komendy Miejskiej w Piotrkowie przysłała z Sulejowa notatka od chorążego Szymańskiego, że na ich terenie mieli młodego mężczyznę notowanego za napady na chłopców. Na tle seksualnym. Ale wtedy były jakieś tarcia między Miejską a Wojewódzką i oni jakoś od razu nie przekazali nam tej notatki. I sami też z nią nic nie zrobili. Więc my cały czas szukaliśmy po obozowiskach, a u nich leżała notatka o Trynkiewiczu. Dopiero chyba sekretarka się tym zainteresowała, no i wreszcie trafiło to na moje biurko. Jak do mnie dotarło, że jest taki facet z Piotrkowa, co atakował dzieci w Przygłowie, to mówię do Zdzisia, takiego milicjanta ode mnie z wydziału: jedź i sprawdź na Działkową, czy ten Trynkiewicz jest w domu. Sprawdź, kto w tym mieszkaniu mieszka i czy ktoś tam jest. Za jakiś czas Zdzisiu dzwoni, że Trynkiewicz jest w mieszkaniu. To się zapakowałem do auta i pojechałem. W mieszkaniu był on i jego ojciec. Patrę na to mieszkanie, a tam wszystko jakoś tak idealnie wysprzątane. Za bardzo. W łazience wszystko wymyte. Wanna, umywalka, linoleum. Za czysto było i już byłem pewien, że go mamy. Patrzyłem na jego minę i wiedziałem, że to musi być sprawca. Od razu wezwałem ekipę, żeby zabezpieczyła ślady, a ojciec mnie pyta,

w jakim celu to robimy i dlaczego tu jesteśmy.

Odpowiedziałem mu, że zaraz się dowie, jaki jest cel. Powiedziałem, że jego syn zamordował trzech chłopców, a później spalił ich ciała w lesie, siedem kilometrów od domu. Na to ojciec spokojnie mówi, że chyba się jednak mylimy.

A Mariusz Trynkiewicz? Co on na to?

Stał cały czas ze spuszczoną głową, patrzył w podłogę i tylko powtarzał, że nie ma z tym nic wspólnego.

A ja cały czas się rozglądałem po tym mieszkaniu, szukałem jakiegoś punktu zaczepienia. Nagle patrzę, a w pokoju w oknach identyczne zasłony jak te, w które były owinięte dzieci. Pomyślałem: „No to cię mam”.

Zapytałem: „Panie Trynkiewicz, a panu to nie brakuje czegoś w domu?”. On mówi, że nie.

To ja pytam: „A takich zasłon jak te w oknach to panu nie brakuje?”. Wtedy już nic nie odpowiedział...

Powiedziałem jeszcze tylko na koniec do ojca, że sprawa jest przykra, bo dziś zabieramy syna do komendy i że postawimy mu zarzuty. Wszystko wskazuje na to, że to on zabił.

Trynkiewicz do końca nie pękł?

Dopiero w samochodzie. Wcześniej tylko cały czas powtarzał: „To nie ja, to nie ja”. Więc mówię w końcu do niego: „No dobrze, to zamiast do komendy pojedziemy na ulicę, gdzie mieszka rodzina Kaczmarka i Łojka, i im powiesz, że to nie ty. Oni na ciebie czekają”. I on wtedy powiedział: „Nie, to ja wolę do komendy”. I z twardziela się zrobił mięciutki. Chyba ten ciężar był dla niego za duży. Dopiero w tym samochodzie do niego dotarło, co on tak naprawdę zrobił. Zawieźliśmy go do komendy, tam byli Małgorzata Ronc i Kaczmarek, oni wtedy zawsze razem chodzili. Gośka wzięła Trynkiewicza do wydziału dochodzeniowego i on wszystko szybko im powiedział. Spokojny był wtedy, ale ta jego twarz jakaś taka zachmurzona.

W moim gabinecie go przesłuchiwali i on się przyznał, że dokonał tego mordu u siebie w mieszkaniu, że ukrywał zwłoki w piwnicy, a później wywiózł ciała samochodem ojca do lasu.

Zapytałem go tego dnia: „Czemu pan to zrobił?”. A on mi powiedział: „Bo ja jakiś inny jestem”. Ja mu na to, że wielu jest innych, ale można sobie jakoś z tym poradzić. Można było z tą innością walczyć, a nie zabijać dzieci. Ale on już tylko milczał.

Mariusz Trynkiewicz zeznał, że sam zabił tych chłopców. Jak to możliwe, że nie uciekali, nie bronili się? Myśli pan, że on naprawdę mógł to zrobić sam?

To od początku było dla mnie bardzo dziwne. Byłem na sali podczas sekcji i patrzyłem na to, co zostało po Krzysiu Kaczmarku. Miał bardzo mocny, dobrze zbudowany szkielet. I tyle tych ran, z góry zadanych. Przecież najpierw my podejrzewaliśmy tego grzybiarza, co znalazł ciała. Zwłaszcza że facet nie miał za dobrej opinii. Ale szybko go wykluczyliśmy, bo był za słaby i za mały, żeby zrobić coś takiego. A do tego zbyt prosty. Nigdy nie wyjaśniliśmy, jak Trynkiewicz to zrobił w pojedynkę. On musiał jakoś tych chłopców omamić albo zastraszyć. Do dziś nie wierzę, że od razu, na raz, zabił trójkę. To jest niemożliwe.

Więc co, ktoś mu pomógł?

Nie. Nie znaleźliśmy żadnych śladów, które by na to wskazywały. Ja myślę, że on miał jakąś zdolność, że tak zapanował nad tymi chłopcami. Przecież to byli zdrowi, sprawni chłopcy. Każdy ważył kilkadziesiąt kilogramów. Nie wierzę, że by mu się nie wyrwali. Ale nie wiem do dziś, jak on to zrobił...

Może podał im jakieś środki?

Od razu to sprawdziliśmy. Do Instytutu Ekspertyz w Krakowie wysłaliśmy krew i płyny z wątroby i gałek ocznych. No i nic nie wyszło. Wszystko czyste. Czyli nic im nie podał.

Tomek Łojek miał tak zwaną skórę praczki.

Tak, skóra praczki robi się wtedy, gdy ciało leży w wodzie dłużej niż dobę.

To gdzie on był w tej wodzie przetrzymywany?

Wystarczy, że Trynkiewicz wyjął mokre ciało z wanny, owinał je tymi szmatami, one nasiąkły i później tak leżało w piwnicy.

A po co trzymał Łojka w wannie?!

Każdego z nich. Myślę, że ich mył z krwi. Może z innych śladów biologicznych... Później wanna była niemal idealnie wyczyszczona, jak po jakimś wielkim bałaganie.

Ale znaleźliśmy tam ślady krwi.

Z jakich innych śladów?

Podczas badań nie zabezpieczono na przykład śladów nasienia na ciałach chłopców, a jednak podejrzewaliśmy, że on mógł ich zgwałcić. No ale badań DNA w tym czasie nie było.

Trynkiewicz podczas przesłuchań nic nie mówił o gwałcie.

Mówił tylko to, co chciał. Na przykład „ja to zrobiłem”, ale nie tłumaczył jak, dlaczego. On się chyba bał opowiadać wszystko, co i jak zrobił tym chłopakom. Bał się naszej reakcji. Przecież my mieliśmy dzieci. Bał się, że któremuś nerwy puszczą.

A puścili?

Ja go traktowałem jak przedmiot do obróbki. Starłem się nie angażować. Ale przecież wracałem do domu, a tam spała moja mała córka.

Jak on zawiózł te zwłoki? Nie miał prawa jazdy. Matka zeznawała, że nie bardzo umiał jeździć samochodem. A tu jeszcze w nerwach...

Umiał, umiał. On musiał mieć bardzo silne nerwy. Najpierw poznosił te ciała, jak worki z kartoflami, później zapakował do auta, zawiózł do lasu, na dodatek ułożył w ten rytualny kształt, czyli jeszcze nad tym myślał. Musiał być bardzo opanowany.

Jakie my mieliśmy szczęście, że wtedy akurat padał deszcz. To było upalne lato, strasznie gorące, suche. Gdyby nie deszcz w nocy, to zwłoki by się spaliły i byśmy tych dzieci nie znaleźli. Na szczęście deszcz przygasił ogień.

Grzybiarz, który znalazł ciała, pierwszego dnia ponoć słyszał w pobliżu paleniska nieartykułowane dźwięki. Przestraszył się i dlatego nie podszedł. Kto tam mógł być?

Ten facet to był konfabulant. Opowiadał, że go biłem, zaraz po tym jak znalazł ciała, żeby się przyznał. A ja go nie tknąłem. Od początku czułem, że to nie on. Ja nie sądzę, żeby Trynkiewicz jeszcze wrócił tam, do lasu.

Zapytam jeszcze o mężczyznę w słomkowym kapeluszu. Nigdy go nie znaleźliście. A może to był właśnie Trynkiewicz? Może on był jednak z tymi dziećmi nad zalewem?

Rysopis się nie zgadzał. Faktycznie miał taki toporek, u rodziców na działce, ale nie

miął czarnego dresu, nie miał kapelusza. Może to ludzka wyobraźnia...

Ale żeby aż tyle osób się pomyliło...

Kiedy zatrzymaliśmy Trynkiewicza i on się przyznał, to zamknęliśmy tamten wątek. Trynkiewicz zaprzeczał, żeby był nad zalewem. Mówił, że ich zwabił do domu, i w tym mieszkaniu zabił.

Prokurator Ronc też nie przyciskała go za bardzo?

Nie. Mieliśmy sprawcę i odhaczone. Sprawa zaliczona. Komendant ogłosił, że morderca siedzi w areszcie, ludzie w Piotrkowie odetchnęli. Wszyscy się uspokoili, że w mieście nie ma satanistów. My jeszcze dostaliśmy odznaczenia. Już nikt nie drażył.

A może trzeba było. Czwarta ofiara Trynkiewicza, Wojtek Pryczek, wyszła na jaw trochę przypadkowo. Trynkiewicz nic nie mówił, że kilka tygodni wcześniej zabił innego chłopca.

Tak, dopiero we wrześniu się przyznał do tego morderstwa, jak my już i tak połączyliśmy fakty. Do matki Wojtka jeszcze wysłał kartkę, widokówkę z parlamentem w Budapeszcie. Tyle że wysłał kartkę z Piotrkowa. Później jeszcze żądał okupu.

Może mieć na koncie jeszcze inne ofiary, o których nie wiemy.

No tego to się już raczej nie dowiemy. Na naszym terenie innych zaginięć nie było tamtego lata, więc zamknęliśmy sprawę.

Jaki on był? Jak inni mordercy?

Najgorszy to był ten Moruś, co siedem osób zabił dla pieniędzy. Dla byle obrączki strzelał do ludzi. To był taki ordynarny, prosty łotr. A ten był inteligentny facet. Ale ja nie czułem do niego empatii.

Miał pan później jeszcze kontakt z Trynkiewiczem?

Nie. Wtedy w ogóle nie wierzyłem, że doczekam tego czasu, że on wyjdzie z więzienia. Byłem pewny, że albo sam już nie wytrzyma, albo mu pomogą współwięźniowie. A tu się okazuje, że się z nim cackali. Obchodzili jak z jajkiem, żeby się nie potłukło.

Tylko rodzin mi strasznie żal. Oni się nigdy nie pogodzili z tym wszystkim. Tam tragedie były.

Stasio Kaczmarek, ojciec Krzysia, to już za policji było, cały czas do mnie

przychodził i prosił, żebym mu syna do policji przyjął. Żebym pomógł. Ja wiedziałem, o co chodzi. Żeby miał broń, żeby mógł dokonać zemsty.

A później ten chłopak targnął się na życie...

Ojcowie Łojka i Kawczyńskiego zmarli jeszcze w latach 90., a Stanisław Kaczmarek w 2017.

Zakończenie

Mariusz Trynkiewicz w lipcu 1988 roku zamordował czterech chłopców i zniszczył przyszłość ich rodzin. Żadna z nich nie poradziła sobie z tragedią, choć próbowali na różne sposoby. Żadna z rodzin się nie odbudowała. Część z bliskich już nie żyje. Niektórzy odebrali sobie życie sami, inni żyli zbyt szybko, a inni umarli, bo im na życiu nie zależało.

Przez trzydzieści lat nikt, oprócz dziennikarzy, nie zainteresował się najbliższymi Krzysia, Artura, Tomka i Wojtka. Ani psychologowie, ani terapeuci, ani państwowe instytucje. Nikt nie spytał, czy potrzebują pomocy.

Za to Mariuszem Trynkiewiczem interesowali się i interesują wszyscy. W 2015 roku, w wieku 53 lat, wziął ślub. Zakochał się w młodszej od siebie Tamarze. Mają córkę z pierwszego małżeństwa kobiety. Trynkiewicz w ośrodku w Gostyninie pisze wiersze, maluje. Wygląda na spokojnego i szczęśliwego. To on decyduje, co chce robić każdego dnia i z kim chce go spędzić. To on wybiera terapeutów i pielęgniarki, którzy się nim opiekują.

Na wakacje do Dziwnowa nie jeździmy od lat. Huta Szkła Gospodarczego „Hortensja” najpierw została sprywatyzowana, a potem zakład upadł. Ośrodek pracowniczy nad morzem popadł w ruinę. Dziś nie ma po nim śladu. Tam, gdzie kwitły malwy i graliśmy w siatkówkę, został piach i resztki betonu. Nowy właściciel nie ma pomysłu na miejsce z widokiem na morze.

Z ciocią Grażyną, która od dawna jest na emeryturze, ciepłe weekendy spędzamy na jej działce. Dziwnów często wspominamy.

Po trzydziestu latach zbrodnia zabójstwa się przedawnia. A to oznacza, że już nikt, ani policja, ani prokuratura, nie będzie próbował odpowiedzieć na pytania, które wciąż pozostają zagadką. Być może już nigdy nie dowiemy się, jak doszło do jednej z najgłośniejszych zbrodni XX wieku w Polsce.

Źródła

Akta Mariusza Trynkiewicza, sygn. II K 11/89, tom I, II, III, IV, V, Sąd Okręgowy w Piotrkowie Trybunalskim.

Cichy, spokojny [reportaż Magdaleny Majewskiej], TVP Łódź, 1989.

Paweł Kapusta, *Kto tu trafia, już nie wychodzi. Gostynin – miejsce jak z chorego snu*, magazyn.wp.pl/artukul/kto-tu-trafia-juz-nie-wychodzi-gostynin-miejsce-jak-z-chorego-snu (dostęp: 5.06.2018).

Wypowiedź Stefana Niesiołowskiego w rozmowie z TOK FM, styczeń 2014, (dostęp: 5.06.2018).

Joanna Podgórska, Małgorzata Ronc, *Prokurator. Kobieta, która się nie bała*, Kraków 2015.

W przytoczonych fragmentach protokołów zeznań i dokumentów archiwalnych zachowano pisownię oryginalną. Ujednolicono jedynie zapis godzin, poprawiono interpunkcję i oczywiste literówki.

Copyright © by Ewa Żarska

Projekt okładki
Zuzanna Weremiuk

Redakcja
Bartosz Józefiak

Opieka redakcyjna
Anna Steć

Adiustacja
Anna Niklewicz

Korekta
Anna Gądek

Ilustracja na stronie z dedykacją
Designed by Freepik

ISBN 978-83-240-5569-2

znak

Książki z dobrej strony: www.znak.com.pl

Więcej o naszych autorach i książkach: www.wydawnictwoznak.pl

Spółeczny Instytut Wydawniczy Znak, ul. Kościuszki 37, 30-105 Kraków

Dział sprzedaży: tel. [12 61 99 569](tel:126199569), e-mail: czytelnicy@znak.com.pl

Na zlecenie Woblink

woblink
woblink.com

Więcej ebooków i audiobooków na chomiku JamaNiamy